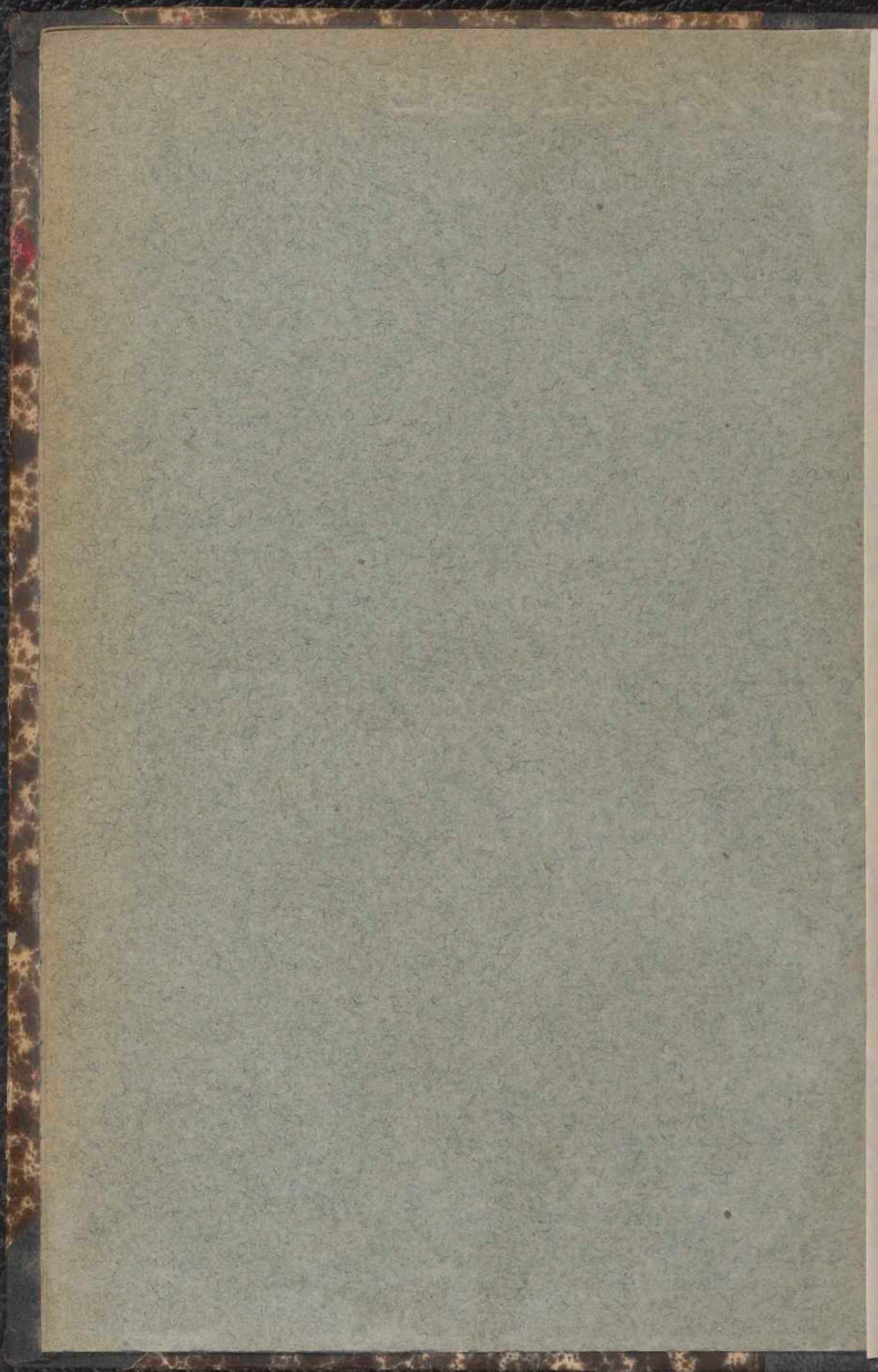
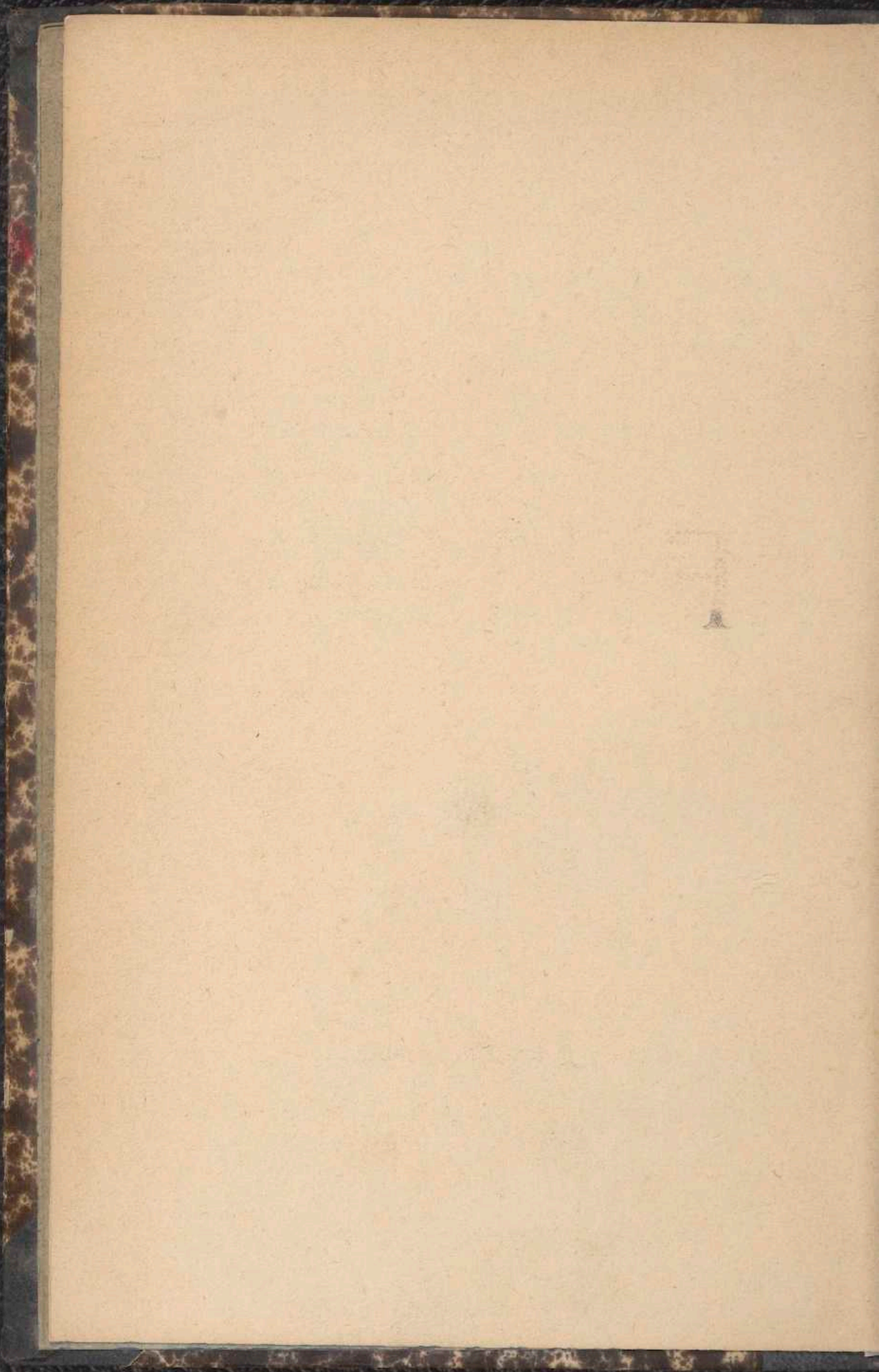


I. 1.464.383



FRIDA.

—



Andrzej Theuriet
członek akademii francuskiej.



FRIDA.



LWÓW. 1900.

Drukarnia narodowa St. Maniecki i Spka,



I. A. 461. 383

Ⓐ

1982 W 480/2

O ile sobie przypominam, było to jednego popołudnia niedzielnego, w miesiącu grudniu. Dzwony z pobliskiego kościoła dzwoniły wzywając na nieszpory. Byłem sam, pod opieką tylko Celiny, mojej bony. Przed trzema laty straciłem matkę; od tego czasu ojciec często wydalął się z domu, bywał w świecie, tego dnia także wyjechał na tydzień do Paryża, jak mówiono u nas do „Administracyi“; był urzędnikiem i starał się o awans. Oboje więc z Celiną byliśmy sami i staraliśmy razem się zabawiać. Przysunąłem więc sobie stolik do pieca i wyjąłem mój teatr z tektury, a prze-

suwając figurki jedną za drugą, bawiłem się w aktora. Celina pomimo święta położywszy deskę do prasowania na dwóch krzesłach, zabrała się energicznie do prasowania koszul i kołnierzyków. Miała ona najwyżej 25 lat. Dobrze zbudowana, z zadartym noskiem i twarzą śmiejącą, była w moich oczach bardzo ładna; niebieskie jej oczy patrzyły łagodnie, a czepeczek włożony trochę na tył głowy ubierał ją. Kochałem ją nie tylko za jej opiekę nademną, ale i za to, że umiała różne ładne bajki opowiadać, a piosnkami nieraz usypiała na noc. Byłem wtenczas jeszcze małym chłopcem około lat 9-ciu, uczyłem się w domu i wierzyłem w strachy i duchy. P. Berloquin przychodził w dzień na dwie godziny, uczył mnie języka, historyi świętej, trochę łaciny i pierwszych czterech dział rachunkowych. Jak tylko napisałem moje zadania, zabierałem się do czytania różnych książek, które zostawione były do mojej dyspozycji, jak: „Zbiór czarów, Tysiąc i jedna nocy“ i wiele innych. Nie mając towarzystwa w moim wieku, pozostawiony sobie samemu, marzyłem ciągle o ja-

kiejś przygodzie romantycznej i wyobrażałem sobie, że jestem bohaterem. Dwa razy do roku chodziłem do teatru na czarodziejskie przedstawienia, a powróciwszy do domu starałem się w moim kartonowym teatrze odtwarzać sztuki widziane. Te więc zajęcia i tym razem zajęły mi czas samotnie przepędzany.

Ogień w piecu od czasu do czasu mocniej zajaśniał, na małej kozetce nasza kotka Zinga spała zwinięta w kłębek, a ja przesuwając moje figurki, słyszałem jak w śnie, suwanie żelazka po desce i czułem zapach węgla rozchodzący się po ocieplonym pokoju.

Krótki a mroźny dzień zimowy miał się ku schyłkowi. Słyszać było na ulicy coraz rzadsze kroki przechodniów, kiedy naraz usłyszałem, że ktoś stanął pod oknem. Podniosłem głowę i zobaczyłem Celinę, wychyloną przez okno na pół otwarte, jak półgłosem z kimś rozmawiała; nie mogłem zobaczyć kto to jest, tylko niewyraźnie ukazała mi się jakaś obrośnięta głowa nieznanego. Nie mogąc usłyszeć ani jednego słowa z ich

rozmowy, wyobrażałem sobie, że to jest złodziej, który zakrada się do pomieszkania w nieobecności gospodarza. Rozmowa poczęła przybierać coraz prędszą wymianę słów, a ja w strachu wstrzymywałem oddech i chowałem się za mój teatr kartonowy, ażeby nie być widzianym. Po chwili okno się zamknęło i Celina obróciła się do mnie zapalając lampę. Łagodne światło płomienia rozproszyło moje obawy i odważyłem się zapytać:

— Z kim rozmawiałaś przez okno?

— Ah! — odpowiedziała Celina — to był chłopiec od węglarza.

Nareszcie kiedy pozbierała bieliznę, pousta-
wiała krzesła, siadła koło mnie i sparłszy się na
stole w te odezwała się słowa:

— Czy wiesz mały, że to dziś Św. Mikołaja?

— Tak — odpowiedziałem — wiem, że to dziś
Św. Mikołaja, ale kiedy ojciec pojechał, to ja nie
nie znajdę pod poduszką.

— Ty pewnie nudzisz się tak sam w domu?

— Naturalnie, że to nie jest zabawne, ale na

szcęście ty Celino jesteś ze mną i jakoś sobie wystarczamy.

Pocałowawszy mnie w oba policzki odpowiedziała :

— Nie smuć się, postaram się, ażebyś się dobrze zabawił. Na Św. Mikołaja przygotowuję ci niespodziankę.

— Niespodziankę! — wykrzyknąłem z radością — powiedz jaką?

— Otóż słuchaj! Najprzód obiecaj mi, że nie powiesz swemu ojcu jak przyjedzie z Paryża.

— Obiecuję. A teraz powiedz mi o niespodziance Celino?

— Dobrze. Otóż dziś zaprowadzę cię na kolację i na noc do jednego zamku.

— Do zamku? — zapytałem z niedowierzaniem — znasz więc osoby, które mieszkają w zamku Celino?

— Dlaczego nie! Mam przyjaciół, do których idziemy, a którzy serdecznie nas przyjmą. Spiesz się. Ubierz się w płaszczyk i ciepłe rękawiczki, a ja przygotuję bieliznę potrzebną na noc. Wyj-

dziemy przez ogród, mieszkanie zamkniemy, tylko ani słowa przed ojcem.

Gdy już byłem ubrany, zjawiała się owinięta chustką, pozamykaliśmy drzwi i okna, i cicho wymknęliśmy się na ulicę.

Była noc. Na ulicach słabo oświetlonych lampami podnosiła się mgła. Nie byłem przyzwyczajony wychodzić wieczór, więc spacer nocny nie bardzo przypadał mi do gustu. Z bojaźnią trzymałem moją towarzyszkę za rękę i nieśmiało zapytałem :

— Do kogo idziemy Celino ?

— Do przyjaciół, którzy mieszkają w zamku.

Obiecanka tego zamku zaciekawiała mnie; miałem zawsze pociąg do przygód niezwykłych i tajemniczych. O ile podobała mi się wycieczka nocna, o tyle obawiałem się czegoś. Wkrótce spostrzegłem, że idziemy w górną stronę miasta. Zawsze wyobrażałem sobie, że ta część jest za-

mieszkana przez złych ludzi, gdzie w ponurych domkach siedzą istoty podejrzane. Ta okoliczność pobudzała moją wyobraźnię. Chodziły mi po głowie bajki opowiadane przez Celinę. Ogarnęła mnie niepewność przechodząc koło tych mieszkań szczelnie zamkniętych, nad którymi w mroku wznosiła się kopuła kościoła Św. Jerzego. Gorzej było, kiedy weszliśmy w uliczkę ciemną, otoczoną ogrodami, z których zwieszały się gałęzie drzew, jakby nas pochwycić chciały. Uliczka była ponura, pełna tajemniczych zagłębień, w których zdawało mi się widzieć duchy się snujące.

— Celino — zapytałem przestraszony — prędko znajdziemy?

— Cierpliwości maleńki, za kwadrans będziemy na miejscu.

Pociągnęła mnie silniej za sobą i zacząłem i jej nie dowierzać. Wyobrażałem sobie, że jest w zмовie z duchami i zaprowadzi mnie do jednego z zamków, gdzie mieszkają wielkoludy i smoki. Napróżno tłumaczyłem sobie, że te wszystkie nadprzyrodzone zjawiska nie egzystują wcale, co potwierdzał i mój nauczyciel P. Berloquin. Bojaźń

była zbyt wielka, ciekawość pobudzona, a nawet miałem mu za złe, że starał się wyperswadować mi moje urojenia.

Nareszcie wyszliśmy z tej strasznej uliczki i wyszedłszy na mały pagórek, otoczony drzewami, zeszliśmy na dół w pole. Przed nami rozciągała się pagórkowata płaszczyna, po której wiły się na zamarznętej ziemi korzenie dzikiego wina, w oddali odznaczały się ciemne lasy. I w obec tej pustej przestrzeni, żałowałem nawet cichej i ciemnej uliczki, która zabudowana domkami, zabezpieczała od niebezpieczeństwa.

Przy niepewnym świetle gwiazd, przedmioty widziane przybierały kształty ludzi. Suche badyła winne i gałązki głogu poruszane przez wiatr, wydawały się osobami, które jak złodzieje przystępowały do nas i pytały: „życie albo pieniądze“. Mimowolnie tuliłem się do Celiny, która przyspieszała kroku, sama będąc w obawie.

Nakoniec stanęliśmy przed murem, w którym była żelazna brama. Dom, który ukazał się w dali, był posrebrzony od mrozu, jak prawdziwy zamek zaczarowany. Stałem olśniony. Wierzyłem, że

przyszedłem do kraju wróżek i wspomniałem sobie P. Berloquin, o ile jest pożałowania godnym, gdy nie wierzy w zaczarowane pałace.

Wyobrażałem sobie, że w tej chwili ukaże się na terasie czarodziejka ze złotymi włosami, albo wróżka okryta srebrną suknią. Przedstawiałem sobie jak zejdzie do mnie; wzięwszy za rękę poprowadzi do sali na kolację. Stół będzie stał na środku zastawiony samemi przysmakami, lśniący od szkła i kryształów, przy oświetleniu milionów świec. Ale drzwi się nie otworzyły; żadna księżniczka nie wyszła.

Pomimo tego byłem przekonany, że to w tym zamku będziemy jedli kolację i posunąłem się naprzód.

— Gdzie idziesz? — zapytała Celina biorąc mnie za rękę. — To nie tutaj nas oczekują—i zawróciła ze mną na drugą stronę do domku znacznie niższego; ukryty on był za masą drzew zielonych.

W tej samej chwili głos jakiś odezwał się:

— Czy to ty Celino?

Po potwierdzającej odpowiedzi ze strony mej bony, usłyszałem dalej:

— Proszę tedy, spóźniliście się trochę, wszyscy goście już są przy stole. — I wprowadziła mnie Celina do niskiego domku, wprost do kuchni z czarnym sufitem i pełną dymu.

Z pół tuzina osób, mężczyzn i kobiet, siedziało na około stołu, w ubraniach przypominających strój górali, na stole zaś stała miska z potrawką zaprawioną czarnym sosem; zdawało mi się, że to polewka czarownic.

Stanowczo nie z księżniczką to miałem siadać do stołu, tylko z jej służącymi. Byłem dziecinnie obrażony, że nie uznała mnie godnym jeść z nią razem, do tego jeszcze oddzielono mnie od Celiny, a sąsiedztwo starej bezzębnej baby z siwymi włosami i czepkiem wątpliwej czystości, nie zachęcało do swobody. Celina umieściła się obok silnego, młodego chłopca, którego czarna, gęsta broda, przypominała nieznanomego z dzisiejszego wieczora. Jego szerokie usta i gęste brwi, czyniły go podobnym do młodego niedźwiedzia. Stara, siedząca obok mnie, zachęcała do jedzenia, ale ja nie miałem apetytu.

Przypomniałem sobie jedną czytaną bajkę, że kto pokosztuje potrawy przyrządzonej przez czarownicę, zamienia się w jakieś dzikie zwierzę. To też co chwila spoglądałem niespokojnie na naprzeciw siedzącą Celinę, ale ona zajęta swoim towarzyszem, nie zwracała na mnie uwagi, nic się nie bała tego młodego niedźwiedzia. śmiała się do niego i w najlepsze zajadała podawane przysmaki.

Kiedy kolacja przeciągała się do późna i oczy moje poczęły kleić się do snu, nagle otworzyły się przyległe drzwi i ukazała się w nich biała postać.

— Otóż i panienka — powiedziała jedna młoda dziewczyna.

— Tak, to ja jestem — odezwała się przybyła srebrzystym głosem — dobry wieczór moi kochani, przynoszę wam deser.

Nowy gość, który mnie tak przyjemnie zadziwił, była to dziewczynka w wieku lat 10. Cała w bieli, ślicznie wyglądała. Miała na sobie futerko z tybetańskich baranków, taki sam kapturek, z pod którego okazywały się włoski blond, z grzywką spadającą na czoło. Słuszna, szczupła, wyglądała ze swemi niebieskimi oczkami i śmiejącą buzią, na księżniczkę z bajki. W ręce trzymała koszyk, napełniony winogronami, gruszkami i ciasteczkami, który z powagą postawiła na stole. Za nią szła guwernantka, sucha i ruda, która niosła dwie flaszki wina, ażeby wypić za zdrowie panielki.



— To jest bratanica naszych „pań“ — szepnęła stara baba powstając.

— Proszę o miejsce — odezwał się głosik miłutki — gdzie mam usiąść?

Popatrzywszy uważnie na mnie odpowiedziała:

— Otóż usiądę tu obok tego małego chłopczyka, który przyszedł z nami święcić św. Mikołaja.

Pomimo, że obraziła mnie nazwą daną „mały chłopczyk“, kiedy byłem prawie w tym wieku co ona, z radością zauważyłem, że stara usunęła się, a księżniczka usiadła koło mnie. Usiadła po mojej lewej stronie, futerko z kapturkiem zawiesiła na poręczy krzesła i przysunąwszy sobie talerz, kazała guwernantce podać słodycze.

— Ty nie jesteś tutejszy — zapytała — z kim przyszedłeś?

Pokazałem milcząco na siedzącą naprzeciw Celinę.

— Celina? dobra znajoma węglarza Justyna... Czy jesteś jej krewny?

— Nie — odpowiedziałem obrażony. — Celina jest moją boną. Ojciec mój jest zarządcą lasów.

Odpowiedź jednak moja nie zrobiła na niej tego wrażenia, jakiego się obawiałem.

— Ach! — odpowiedziała. — A jak się nazywasz?

— Raul... Raul Laignier — odrzekłem zdobywszy się na odwagę. — A ty?

— Ja... Frida.

— Ładne imię.

— Znajdujesz?... Jest to imię po mojej matce, która była Niemką... Już umarła.

— Moja także umarła — przyznałem w tej nadziei, że ją może wzruszy jednakowe położenie.

Ale ona nie raczyła mi odpowiedzieć. Po chwili spytałem:

— To jest twój ten zamek?

— Jaki zamek?

— Ten, który widziałem idąc tutaj.

— Ah! — odrzekła śmiejąc się — Salvanches!...

Nie, to jest dom moich babek panien Koeler... Ja mieszkam z niemi w czasie nieobecności mego ojca, który pojechał do Alzacyi. Ale skąd przyszło ci do głowy nazywać Salvanches zamkiem?

— Bo ty wyglądasz na księżniczkę — szepnąłem patrząc na nią z uwielbieniem.

— Doprawdy?... — wykrzyknęła z dumą... W tej chwili guwernantka naląła nam dwa kieliszki wina...

— A więc dobrze — rzekła powstając... — Księżniczka rozkazuje ci wypić to wino za swoje zdrowie.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy wino śmiejąc się. Wino było słodkie a nieprzyzwyczajony do picia trunków, rozmarzyłem się i rozweseliłem do tego stopnia, że coraz śmielszy zapytałem:

— Gdzie my jesteśmy?

— U naszego ogrodnika.

— Ach, więc ta stara, bezzębna kobieta, która siedziała koło mnie, nie jest czarownicą?

— Która?... matka Chiffaudel... Także przypuszczenie! To jest babka naszego ogrodnika. Zabawne jest, że wydaje ci się, iż dom jest zamkiem, dziewczęta są księżniczkami, a ogrodniczki bierzesz za czarownice?... Śmieszny jesteś a mówisz jak w bajce.

— Ty nie wierzysz w wróżki?

Pokręciła swoją główką aż grzywka się rozkręciła i robiąc śliczną minkę odpowiedziała:

— I wierzę i nie wierzę... Jednego wieczora przeczytawszy „Ptaka niebieskiego“ poszłam do ogrodu i zawołałam: „Jeżeli jest tu jaka wróżka, niech się ukáže! Raz, dwa, trzy!...“ Ale nikt nie przyszedł. Wprawdzie ze strachu uciekłam do domu i może wtenczas się jaka wróżka ukazała.

Kiedy tak sobie swobodnie rozmawiamy, wszyscy wstali od stołu i pytali gdzie by nas umieścić na noc.

— Niema kłopotu — odrzekł ogrodnik. — Celina będzie spała z moją bratową, a ten mały w pokoju mojej babki.

Usłyszawszy podobną propozycję miałem minę tak przestraszoną, że Frida ulitowała się nademną i rzekła:

— Raul dziś będzie nocować u nas... Prawda Fräulein? Zaprowadzę go do moich babek.

Zanadto podobał mi się projekt usłyszany, ażebym uczynił jakąkolwiek opozycję. Celina również chętnie się zgodziła, podała moje zawiniątko,

pocałowała na dobranoc, zalecając, ażebym był grzeczny i poprzedzany przez Fräulein i Fridę oddaliłem się.

Prędko wyszliśmy i zobaczyłem przy niepewnym świetle dom biały, który wziąłem za zamek.

— Wyobraź sobie — szepnęła Frida idąc drogą — zaraz się domyśliłam, że nie chciałeś spać w pokoju „czarownicy“ i ulitowałam się nad tobą... Z pewnością lepiej będziesz umieszczony u moich babek.

Co do mnie, byłem uszczęśliwiony towarzystwem ślicznej księżniczki, zawiniętej w białe futerko i zadowolony, że pozwoliła mi nocować w swoim „zamku“. — Z tem wszystkiem wchodziłem na stopnie z obawą, jak będę przyjęty przez babki. Fräulein otworzyła drzwi przedsionka ciemnego i zimnego, który oświecony był niepewnym światłem lampki; potem poprowadziła nas do wielkiej sali wykładanej ciemnym drzewem, niedostatecznie oświeconej lampą, umieszczoną w rogu na trójnóżku. W tej chwili uczyniłem spostrzeżenie, że oprócz bogatego kominka, na którym paliły się kłody drzewa, sala była ogrzewa-

na kaflowym piecem, który umieszczony był w kącie.

Ten zbytek w ogrzewaniu naprowadził mnie na myśl, że to jest zwyczaj zagraniczny, a potwierdziły się moje domysły, kiedy usłyszałem nosową i nieznaną mowę, którą posługiwały się trzy osoby grupujące się dookoła lampy.

Jedna z nich siedziała w dużym głębokim fotelu koło stolika i zwijała z motka na kłębek popielatą bawełnę; była dobrej tuszy, miała okrągłą brodę, twarz zwiędłą jak ugotowane jabłko, czoło wąskie, otoczone dwoma pasmami siwych włosów i biały czepek. Druga, siedząca naprzeciw, była słuszną, szczupłą, oczy zasłoniła okularami w srebrnej oprawie; miała włosy odkryte, siwawe i narzuconą na nich koronkową chusteczkę; podobną była do pierwszej, a będąc zajęta czytaniem, pochyliła się nad stolikiem. Po pokoju chodziła tu i tam gruba służąca w czepku alzac-kim, który robił wrażenie okrągłego placka.

Wprowadzony przez Fridę, nieśmiało zbliżyłem się do tych trzech kobiet i przerażonym

wzrokiem spoglądałem dokoła na ciemne ozdoby po ścianach, na których wisiały obrazy, przedstawiające członków rodziny; pośrodku stała klatka z żółtych prętów, a w niej śpiąca na jednej nodze papuga, która znienacka przebudzona odezwała się przeraźliwym głosem. Na podłodze rozłożony był dywan, który głuszył nasze kroki, a w powietrzu unosił się zapach piwa zmieszany z odorem jabłek pieczonych w piecu.

Kiedy zbliżyliśmy się, gruba pani przestała zwijać bawełnę, czytająca podniosła głowę z nad książki, a służąca zamruczała swoim żargonem:

— Jesus-Maria-Joseph was ist es?

— Fridelko kochanie — odezwała się czytająca — kogo nam przyprowadzasz?

— Babciu Odilo — odrzekła mała księżniczka — jest to chłopczyk, który jadł kolację ze swoją boną u Chiffaudel'ów. Nazywa się Raul Laignier.

— Laignier? — zapytała dama w okularach — czy ojciec jego nie jest nadleśniczym?

— Tak pani — odpowiedziałem — ojciec jest zarządcą lasów.

— No — pytała gruba pani — a z jakiej przyczyny jego bona znajdowała się tam?

— Przyszła zjeść kolację ze swoim znajomym węglarzem Justynem, a ponieważ ojciec Raula pojechał, wzięła go więc ze sobą.

— Hm! — powiedziała babka Odila — powierz tu dzieci służącym... Dobrze widać są pilnowane... Więc co chcesz, ażebyśmy zrobiły z tym chłopcem?

— Trzeba go przenocować u nas... Oni chcieli mu posłać w pokoju babki Chiffaudel, ale jemu się to nie podobało.

— Rozumiem — przerwała czytająca z uśmiechem — więc ty Frido ofiarowałaś mu przytułek u nas?

— Tak babko Gertrudo.

Obie babki zaczęły rozmawiać między sobą tym twardym i ostrym żargonem, który jak dowiedziałem się jest mową niemiecką. Potem rozkazały coś służącej, a ta zaświeciwszy świecę w lichtarzu znikła.

Ta rozmowa niezrozumiała, całe zachowanie się gospodyń zamku, wygląd ponury sali, do tego

źle oświetlonej, z rozwieszonymi portretami, w której papuga podskakująca na jednej nodze krzyczała „Guten Abend“, wszystko to mnie wydało się nieczystą sprawą.

Zrozumiałem wtenczas, że Frida żyjąc w takim otoczeniu, wierzyła także w wróżki. Ale ona w moich oczach była najśliczniejszą wróżką. W ciemnej i ponurej sali, biała jej osóbka zdawała się jakby posrebrzona promieniami księżyca. Nóżki jej zaledwie dotykały podłogi i dziwiłem się, że nie posiada skrzydeł.

Jasne jej włoski, figlarnie i niedbale rozrzucone naokoło szyi, otaczały główkę jakby złotą aureolą, a para oczek błękitnych z dobrocią spoglądała. Stała koło mnie jakby otoczyć mnie chciała swoją opieką.

— Przybliź się trochę, ażebym cię lepiej zobaczyć mogła — powiedziała młodsza z sióstr, poprawiając swoje okulary.

Przybliżyłem się nieśmiało a stara panna przyciągnawszy mnie do siebie obróciła do lampy i pilnie się przypatrywała mojej osobie.

— Dobrze się prezentuje — wymówiła półgłosem — będzie podobny do swego ojca, który był bardzo przystojnym mężczyzną. Szkoda by było zostawić go w towarzystwie ogrodników. Ma rozumne oczy.... Czy lubisz czytać?

— Tak pani....

— A co czytasz?

— Tysiąc i jedna nocy. Pokój wróżek i Horn Bordeaux.

— Bardzo dobrze. Jutro rano przyjdiesz tutaj i w czasie kiedy Frida będzie śpiewać swoje ćwiczenia, dam ci ładną książeczkę z obrazkami do oglądania.

W tej chwili wróciła służąca ze świecą i zaczęła rozmawiać ze starą babką.

— Teraz — rozkazała ta ostatnia — trzeba iść spać, już późno. Czy ten chłopczyk ma wszystko co mu potrzeba na noc?

— Tak pani — odpowiedziała guwernantka — mam jego zawiniątko.

— Teraz do łóżka, ale prędko.... Jak się położysz dasz mu ciepłego mleka.

Frida pocałowała obie babki. Panna Gertruda polubiła mnie widocznie, bo otrzymawszy pocałowanie od swojej bratanicy rzekła :

— A ty maleńki nie pocałujesz mnie ?

Byłem jej posłuszny, ale stara panna w okularach miała brodę obrósnietą i jej włosy pokłóły moją twarz, co nie sprawiło mi wiele przyjemności. Panna Odila życzyła nam „dobrej nocy“ i poprzedzani przez Kasię służącą wyszliśmy.

Poprowadziła nas przez szerokie schody aż na pierwsze piętro. Frida z guwernantką skreśliły na prawo, a Kasia otworzyła przedemną drzwi maleńkiego pokoiku, w którym zobaczyłem małe łóżeczko z odsuniętą kołderką.

— Łóżeczko jest już dobrze ogrzane, czy potrafisz się sam rozebrać ? — zapytała.

Po mojej potwierdzającej odpowiedzi wyszła ażeby po chwili przyjść i przynieść mi gorące mleko.

— Teraz musisz to wypić — szepnęła podając mi filiżankę.

Z chęcią uczyniłem zadość rozkazowi, bo

mleko było bardzo dobre i smakowało mi, potem Kasia zabrała filiżankę, powiedziała „*Gute Nacht*“ i wyszła.

Łóżko było ciepłe, a z pościeli wydzielał się zapach lawendy. Wkrótce zasnąłem twardo, ale sen mój był niespokojny. Widziałem we śnie jak babka Odila i matka Chiffaudel chodziły po pokoju, papuga wyleciała z klatki, a gruba panna w czepku z rurkami rzuciła na mnie motkiem bawełny i krzyczała: „Będziesz musiał zwinąć tę bawełnę, weź się do tej roboty zgrabnie, bo za każdym razem jak wypuścisz nitkę, papuga uderzy cię dzióbem dwa razy w palec...“ Motek nie miał końca i w śmiertelnej byłem trwodze, aby nie wypuścić nitki. Przez ten czas matka Chiffaudel patrzyła swemi złemi oczami a papuga rzucała się po klatce skrzecząc: „Wypuści nitkę. Ha, ha, ha...“ W tej chwili Frida schodziła z okna na bladym promyku księżyca i chuchała na motek, który przemieniał się w moich oczach na cudny kłębek złotych nitek, a wtenczas obie stare i papuga zamieniały się w mgłę.

Frida odezwała się swoim dźwięcznym głosem: „Motek z jedwabiu jest z moich włosów, a jak będzie całkiem zwinięty, wtenczas się pobierzemy.“

Rano zbudził mnie blady promyk słońca, który wpadał przez otwory w formie serca, znajdujące się w okiennicach, i w tej samej chwili Kasia przyniosła na tacy filiżankę gorącej kawy z mlekiem i bułeczki. Zapach kawy i widok pieczonych bułeczek przywrócił mi przytomność.

— Dzień dobry — rzekła Kasia — czy dobrze spał mały panicz? — Podniosła firanki, otworzyła okiennice i spostrzegłem, że jest późno. Na bladym tle nieba słońce już dobrze świeciło. Kiedy więc smacznie zapijałem kawę z mlekiem i zjadałem bułeczki, służąca przyniosła ciepłą wodę w miednicy i dała mi do poznania, że trzeba już wstawać. Nie dałem się długo prosić i wstałem prędko. Nie dużo

czasu straciłem na moją tualetę; przyzwyczajony byłem sam się ubierać, a zresztą pilno mi było zobaczyć Fridę.

Jak tylko byłem ubrany, wyszedłem. Ciche tony rozlegały się po pustym korytarzu i cieniutki głos śpiewał ćwiczenia. Przypomniałem sobie o zaproszeniu panny Gertrudy i zapukałem do drzwi.

— Herein! — odpowiedział głos kobiecy.

Zrozumiałem, że to znaczy: „wejdz”, bez bojaźni więc pchnąłem drzwi i wszedłem.

Kłody drzewa bukowego paliły się na kominku. Niedaleko okna plecami do drzwi obrócona, w szlafrocжку z niebieskiej materyi, w chusteczce koronkowej, związanej pod brodą, panna Gertruda Koeler wybijała takt liną, a Frida ubrana w białą flanelową sukienkę, z rozpuszczonymi włoskami stała koło pulpitu z nutami i śpiewała ćwiczenia.

Usłyszawszy moje wejście, obie obróciły się w tę stronę, a Frida z uśmiechem kiwnęła do mnie główką.

— To ty mały! — zapytała panna Gertruda — przypuszczam, że dobrze spałeś w ciepłym łóżeczku.... Teraz pożyczę ci książki do czytania, o której wczoraj wspomniałam.

Otworzyła oszkloną szafkę z książkami, wyjęła tom oprawny w ciemną skórę i dała mi go. Była to ładna książka z obrazkami, powiastka P. de Florian „Estella i Nemorin“.

— Teraz siądź sobie na tem krześle koło pieca, czytaj książkę i zachowaj się grzecznie.

Posłuchałem ale przedtem rozglądnałem się po pokoju.

Pokój był obszerny i jasny, tapetowany popielatym papierem, przedstawiającym sceny z bajek La Fontaine'a. Nawet meble i firanki koło okna nosiły na sobie te same obrazki. Szafa na książki palisandrowa z ozdobami mosiężnymi wypełniona była książkami i nutami. Na pułeczce przed kominkiem stały dwa wazony z robionemi kwiatami, na których wymalowane były alegorycznie cztery pory roku.

Przed lustrem oprawionem w ciemne ramy stała komódka, na której umieszczona była grupa,

przedstawiająca pastuszkę różową, pilnującą trzody, a obok niej pasterza wygrywającego na fujarce. Ozdoby te z czasów przeszłych bardzo dobrze odpowiadały umeblowaniu pokoju.

Zajęty nibyto byłem przygodami Estelli i Nemorin'a, które w innym czasie bardzo by mnie bawiły, ale wtenczas nie wiele na nie zwracałem uwagi.

Podziwiałem wdzięk Fridy, wyraz jej słodkiej twarzyczki, zaśluchany byłem w jej śpiew i zapomniałem o czasie.

Niedługo mała księżniczka skończyła swoją lekcję i siadła koło mnie. Ucieszyłem się bardzo. Zziębnięte swoje rączki ogrzewała koło pieca, a obróciwszy się do panny Gertrudy poprosiła o zaśpiewanie jakiej piosneczki. Prośba jej podchlebiła widocznie starej pannie, bo dotknawszy klawiszów swemi białemi palcami, zanuciła głosem miłym, chociaż trochę prześpiewanym jedną z ludowych piosneczek.

Słuchałem z przyjemnością. Doznałem niepojętej tęsknoty słuchając słów niezupełnie zrozumiałych, ale które wzruszyły moje serce. Przy-

mknąłem oczy i zdawało mi się, że to Frida śpiewa i zapewnia mnie o swoim przywiązaniu, które odbija się w jej oczach.. Nagle otworzyłem moje i zobaczyłem jak uradowana klaskała w ręce i prosiła :

— Jeszcze babciu, jeszcze!

Stara panna nie dała się długo prosić i po chwili zanuciła znów jakąś rzewną i tęskną piosenkę.

Nuta tej piosnki i jej pewnie przypomniała dawne czasy, kiedy będąc młodziutką jak Frida ubierała się w białe sukienki i nosiła rozpuszczone włoski. Później słuchaliśmy melodyj z oper, z przed laty czterdziestu. W każdej pieśni słowa pełne miłości szły mi wprost do serca. Wzruszony byłem i rozmarzony muzyką.

I zdawało mi się, że słyszę, jak pastuszek wygrywa na fujarce, siedząc na zielonej murawie obok pasterki, podobnej do Fridy. Długo byłbym pozostał w tem rozmarzeniu, gdyby nie przerwała je Kasia swoim nagłym wejściem. Przyszła dać znać, że obiad na stole. I wtenczas ze

ździwieniem usłyszeliśmy, jak zegar na wieży wydzwaniał południową godzinę.

Stół nakryty był obrusem w tej samej ciemnej sali, którą widziałem dnia poprzedniego. Słońce świecące przez zamarzniete szyby, trochę czyniło ją jaśniejszą. Papuga także była zadowolona i wyglądała na dobrą. Panna Odila miała na twarzy uśmiech łagodny. Kiedyśmy się już wszyscy umieścili koło stołu, odmówiła krótką modlitwę przed jedzeniem i rozdawać zaczęła zupę, z której rozchodził się mocny zapach cynamonu.

Obiad był obfity, ale potrawy mi nie smakowały; były przyrządzane po niemiecku. Więc kapusta garnirowana kielbaskami, knedle oblane białym sosem, szynka gotowana, wszystko to nie wzbudzało we mnie zaufania. Ażeby tylko przypodobać się Fridzie kosztowałem z każdej potrawy potrosze.

Panny Koeler pochodziły ze stron niższej Alzacyi. Brat ich i dziadek Fridy był wyższym urzędnikiem w naszych stronach, a one mieszkały z nim razem. Nawet po jego śmierci już się stale

osiedliły w tych stronach wzięwszy na wychowanie swoją bratanicę Fridę; nic dziwnego, że przyzwyczaiła się w ich domu do wszystkiego.

— Nie jesteś chyba głodny, kiedy nie nie jesz, a przecież potrawy są bardzo dobre — zapytała Frida.

Więc ażeby jej się przypodobać, starałem się zjadać wszystko, co nakładała mi na talerz. Szczęściem na zakończenie podano sucharki z konfiturami, a po kilku kieliszkach wina rozweseliłem się.

Radość moja dopiero była prawdziwa, kiedy po skończonym obiedzie pozwolono nam wstać.

— Teraz moje dzieci poubierajcie się ciepło i idźcie spacerować do ogrodu.

Ubrałem się w mój płaszczyk, Frida owi-
nęła się białym futerkiem... Wyszliśmy.

Na dworze słońce wprawdzie świeciło, ale za mało jednak udzielało ciepła, ażeby stopić zamrznietą ziemię, która z mrozu aż skrzypiała pod naszymi nogami. Oprócz kilku krzaków głogu rośliny były całkiem огоłocone z liści. Gdzieś-
niegdzie widać było krzak różany owinięty sło-

mą, zresztą drzewa obsypane były śniegiem. Wesolo jednak spacerowaliśmy po ścieżkach i weszliśmy na małą polankę, którą otaczały wysokie drzewa.

Polanka ta dochodziła aż do skraju ogrodu i dotykała do muru na pół rozwalonego. Po między ceglami dostrzegano się małą ścieżkę, prowadzącą na zewnątrz.

— Nie boicie się, ażeby rabusie weszli do was tą ścieżką? — zapytałem.

— Najpierw — odpowiedziała Frida z odważną minką — nie ma już rozbójników, a potem psy nasze dobrze strzegą domu.

Ta odpowiedź i jej mina odważna wprawiły mnie w podziwienie, a ona tymczasem wyprzedzając mnie wchodziła znowu między drzewa.

Idąc tak natrafiliśmy na małą polankę, na około której rosły wysokie drzewa na pół obdarte z kory. W środku był basen i fontanna z figurą, przedstawiającą Najadę, u stóp której zamarznęte sople lodu błyszczały do słońca.

— Ta polanka jest ulubionem mojem miejscem... Tutaj wzywałam trzykrotnie wróżkę, która

mi się jednak nie ukazała. — Spróbuj ty ją zawołać, może będziesz miał więcej szczęścia.

I oparła się o kamienną Najadę. Gałązki drzewa poruszone wiatrem strząsały na nią śnieg i ślicznie wyglądała w bieli na szarem tle drzew, przytem oczy jej czule na mnie spoglądały. Byłem pod urokiem jej spojrzenia i przysunawszy się bliżej wykrzyknąłem:

— Ty jesteś moją wróżką. Nie potrzebuję już wzywać innej.

Wziąłem ją za rączkę i ścisnąłem w mojej. Uścisk mój musiał być czuły, bo jej ręce zmarznięte rozgrzały się. I tak chwilę staliśmy zapatrzeni w siebie. Po chwili Frida uściskawszy mocniej moją rękę, przemówiła z uśmiechem:

— Prędko uciekajmy ztąd.

Nie wiem dlaczego doznaliśmy pewnego strachu i pobiegliśmy aż do końca parku. Frida zatrzymała się na drugim jego końcu, gdzie była umieszczona oszklona oranżerya. Otworzyła drzwi.

— Wejdz — rzekła — pokażę ci nasze kwiaty.

Ledwie wszedłem do obszernego oszklenia, uczułem zabijający zapach kwiatów. Z każdej strony na podwyższeniach stały wazony nieznanych mi roślin. Palmy rozkładały swoje wachlarzowate liście, cytryna świeciła liśćmi i owocami, heliotrop dusił zapacham waniliowym a żółte róże, wydzielające silny zapach i będące w pełnym rozkwicie, nie czuły widocznie mrozu, jaki był na dworze.

Frida prowadziła mnie między stopnie zielone, tłómacząc równocześnie nazwę każdej rośliny i dumną była, że posiada tak rozległe wiadomości.

— To tutaj ze swymi długimi w rurkę zwinietymi liśćmi nazywa się datura... Nie dotykaj jej, to trucizna. Tam dalej ten kwiat między kolumnami to kaktus... Tu jest mirt, a to czułek. Popatrz.

Dotknęła się lekko rośliny i powoli liście jej opadły i złożyły się koło gałązek. Zrobiłem na to wielkie oczy i uwierzyłem w jej siłę magiczną.

W głębi oranżeryi krzewy i rośliny wijące tworzyły rodzaj altany, wyścielonej mchem, wśród której poustawiane były wazoniki z cyklamenami, których różowe i czerwone kwiatki ślicznie odbijały od ciemnej zieloności.

Po chwili Frida usiadła w tej altanie. Uroczym wyglądem w swojej białej szacie, a popatrzywszy na mnie swemi cudnymi oczami, ruchem królewskim zaprosiła do zajęcia koło niej miejsca. Posłuszny uczyniłem co rozkazała. Umieściłem się u jej nóg i otoczony ciepłem oranżeryi, rozmarzony zapachami różnorodnych roślin, zapomniałem gdzie jestem. W uszach moich brzmiała równocześnie słodka muzyka, którą rano słyszałem, a pod wrażeniem uroku, schyliłem głowę do kolan milutkiej księżniczki i patrząc na jej lubą twarzyczkę rzekłem :

— Frido, ja ciebie kocham... i zawsze kochać będę, czy zgadzasz się?

Ręką swą dotknęła z lekka moich włosów i odpowiedziała :

— I owszem, zgadzam się... Będiesz moim przyjacielem, jak Justyn jest przyjacielem Celiny...

Miło mi było czuć jej rękę na mojej głowie i chwilę tak pozostaliśmy. Nagle usłyszeliśmy chrapliwy i twardy głos, wychodzący z końca oranżeryi i zbliżyła się do nas Fräulein.

— Frido—krzyknęła — już cały kwadrans ciebie szukam. Co tu robisz?.. Czy nie wiesz, że tu chodzić nie wolno? Zresztą ten mały chłopczyk nie jest dla ciebie stosownem towarzystwem i jeszcze mnóstwo lekcyi masz się uczyć. — Zbliżyła się i wzięwszy Fridę za rękę, wyprowadziła do ogrodu. Poszedłem za niemi i ze zdziwieniem zauważyłem, że dzień ma się ku schyłkowi. Jakże czas prędko zeszedł.

W przedpokoju czekała już Celina. Chciałem pobiegnać za Fridą, ażeby ją pożegnać, ale Fräulein wprowadziła moją księżniczkę do wielkiej sali i tylko przez uchylone drzwi spostrzegłem jeszcze białą sukienkę i złote loczki mojej małej przyjaciółki. Potem Celina wprowadziła mnie do pokoju jadalnego, ażebym podziękował pannom Koeler, za ich gościnność.

Obie stare panny siedziały na swoich miejscach. Panna Odila zwijała wiecznie na kłębek

bawelnę, a panna Gertruda czytała koło zaświeczonej lampy.

— A więc—rzekła starsza—dobranoc chłopcze, bądź grzeczny.

— Bądź zdrów mały—dodała Gertruda, głaszcząc mnie po twarzy — pozdrów od nas twego ojca.

Kasia oddała Celinie moje zawiniątko z bielizną; z głębi swojej klatki papuga zapiszczała *Guten Abend* i ukłoniwszy się, opuściliśmy jadalny pokój.

Przechodząc przez przedpokój, usłyszałem poza drzwiami ostry głos *Fräulein*, wykładający jakąś niemiecką lekcję. Stałem chwilę, ażeby posłać ostatnie pożegnanie i wszystko się skończyło... — W chwilę potem szliśmy znów do bramy. a ja jeszcze się obróciłem i tęsknym wzrokiem objąłem biały zamek, w którym mieszka Frida.

Tym razem nie odchodziliśmy sami, towarzyszył nam Justyn, niedźwiedź z białymi zębami. Prowadził pod rękę moją bonę. Widziałem, że w miejscach ciemniejszych zwalniali kroku. Przy pożegnaniu pocałował ją, z czego ona była bardzo

zadowolona; udawałem że tego nie widzę i żalowałem tylko, że w oranżeryi nie miałem odwagi pocałować moją księżniczkę.

Justyn pożegnał nas już koło domu, który zastaliśmy równie cichy i zamknięty, jak na odchodnem.

— Pamiętaj — rzekła Celina, zaświecając świecę—ani słowa przed ojcem. Ty dostałbyś burę, a ja straciłabym miejsce.

Często bardzo rodzice, im więcej posuwają się w lata, zapominają dawne czasy i nie pojmują, że ich dzieci mogą takie same przechodzić przygody i doznawać takich samych uczuć. Nie umieją sobie wyobrazić, że przychodzi czas rozmysłu i wiek, w którym rozbudzają się tęsknoty czegoś nieuchwytnego. I ze mną było to samo. Zakochany byłem w Fridzie i bratanica panien Koeler zajęła cały mój umysł. Wszędzie widziałem jej białą postać. Co prawda, przyczyniły się do tego uczucia czytane książki i bujna moja wyobraźnia, ale nie mniej zajęty nią byłem.

Pomijam okoliczności, które poprzedziły nasze poznanie, ale urzekła mnie swoim skromnem

obejściem, swoją osóbką i ślicznemi oczkami. Chciałbym był przycisnąć ją do serca i pocałować w różową buzię, która przypominała kwiat polnej róży.

To więc było przyczyną, że na drugi dzień, niedostatecznie zwracałem uwagę na wykładaną lekcję p. Berloquin. Człowiek ten nabożny i surowy, z szerokimi ustami i zimnem spojrzeniem, przyszedł jak zwykle o oznaczonej godzinie, w czarnym surducie, zapiętym po szyję i trochę zatabaczonym. Usiadł ciężko na wyplatany fotelu, zapowiedział, że zaczniemy lekcję od dyktanda i tak zaczął:

„Kalypsa nie mogła się pocieszyć po odjeździe Ulissesa. Często w jego nieobecności spacerowała po swojej wyspie, wiecznie będącej w rozkwicie wiosny; ale te ładne widoki, nie mogły uśmierzyć jej tęsknoty i przypominała sobie na każdym kroku Ulissesa, obok niej się znajdującego“.

Zafrapował mnie ten ustęp i porównałem go do mego położenia. Ja także jak Kalypsa tęskniłem za Fridą i w czasie dyktowania p. Berloquin, widziałem cudne miejsca, po których spacero-

wałem z moją małą przyjaciółką, więc zamek biały, łączkę z posągiem Najady, oranżeryę z cudnymi kwitnącemi kwiatami i kiedy p. Berloquin powiedział, teraz kropka, nie otrząsałem się z mego marzenia.

— Pokaż mi swój zeszyt, poprawię ci błędy. A teraz przejdziemy do gramatyki łacińskiej. Odmieniaj słowo *musca* t. j. mucha.

Wywiązałem się o ile mogłem najlepiej z mego zadania, a wyrecytowawszy liczbę mnogą *muscis*, muchy, zapytałem:

— Panie Berloquin, czy po łacinie imiona własne także się odmieniają?

— Naturalnie... Mówi się Roma, Romy. Ale dlaczego to pytanie?

— Czy przypadkiem nie można odmieniać Frida?

— Frida... Nie wiem, to nie jest imię chrześcijańskie. Gdzie wyrwałeś Fridę?

— To jest imię wróżki — odpowiedziałem.

— Cicho bądź, jesteś głupiec.

P. Berloquin wymówił: głupiec — ja naturalnie chciałem odpowiedzieć przecząco, kiedy on zaczął: — Poprawiajmy dyktando... Jest bardzo

źle napisane. Proszę, co to ma znaczyć?... „Spacerowała nieraz sama po łące i w oranżeryi, ale te piękne miejsca przypominały mi Fridę“. Jeszcze ta Frida! Mały — czy ty kpisz ze mnie? — Zaczzerwieniłem się po uszy i spuściłem głowę.

W rzeczywistości wypisałem moje marzenia. Surowy profesor stuknął ze złością pięścią w stół.

— Nakoniec jest tu pełno błędów... To nie do wytrzymania! Za karę będziesz odmieniać zdanie: „Nie uważam dostatecznie w czasie lekcji mego profesora“... Na dziś dosyć... Odchodzę bardzo niezadowolony.

A obróciwszy się do Celiny powiedział:

— Raul będzie mieć karę za niedostateczną uwagę. Kto to jest ta Frida, o której ciągle wspomina?

— Frida — odpowiedziała Celina — to jest mała bratanica panien Koeler.

Poważny p. Berloquin popatrzył surowo na mnie.

— Młoda dziewczyna? Tego tylko brakowało. Jak przyjedzie P. Laignier, zbuduje się postępowaniem swego syna.

Nie powiedziawszy nic więcej nasunął kapelusz na oczy, wziął książki pod pachę i trzasknąwszy drzwiami wyszedł.

— Boże święty — wyrzekła Celina — ten twój nieznośny profesor gotów wszystko wypaplać ojcu! Zgubieni jesteśmy..

— Ba! — odpowiedziałem — ojciec przyjedzie aż w sobotę, a do tego czasu p. Berloquin o wszystkim zapomni. — Ale powiedz Celino, nie moglibyśmy we czwartek pójść do zamku panien Koeler?

— Pod żadnym warunkiem.... Dość było raz; nie chcę być oddaloną.. Zresztą nie zaprosili nas.

Prawda. Ani babka Odila, ani nawet p. Gertruda nie wspomniały żebym przyszedł. I o ile zauważyłem, Fräulein nie bardzo mi dowierzała, co bardzo mnie martwiło!

Będąc smutny i niezadowolony, ciągle przesiadywałem na górze na poddaszu pod strychem; kąć ten Celina nazwała „graciarnią“, bo był tam zbiór różnych starych, domowych, niepotrzebnych gratów. Złożone tam były stare kufry, połamane meble, obrazy poniszczone, a nawet stara gitara,

popsuta pamiątka po mojej matce. Tam zawsze się chroniłem mając czas wolny. Wyjmowałem ze starej szafy różne książki, opisujące awanturnicze przygody i czytałem je z zajęciem. W głębi koło okna postawiłem fotel, przed nim stolik, to wszystko zasłoniłem parawanem, na którym poprzyklepiałem obrazki, gniazdka ptasie, a nawet dwa łuki, które mój wuj zdobył na dzikich polując na jakiejś wyspie.

Polubiłem ten mój kącik. Przez szyby maleńkie widać było pole a w oddali domy w mieście. Hałas z ulicy rzadko tu dochodził, ale za to słyszałem dzwony z pobliskiego kościoła, a w lecie świegot jaskółek. Od czasu do czasu słychać było jakieś szmery, jakieś łopotanie między meblami i wtenczas wyobrażałem sobie różne niebezpieczeństwa, na które byłem narażony.

Tam także odgrywałem role bohaterów, odprawiałem różne tajemnicze nabożeństwa na uczczenie wróżek i bożków. Zbierałem krople żywicy, sączącej się z drzewa, i paliłem na miseczce, a kiedy dym wonny rozchodził się po mojej „gracjarni“, recytowałem psalmy kabalistyczne.

Od jakiegoś czasu tylko na cześć Fridy paliłem kadzidła. Zdawa widziałem dom, w którym mieszka i z bojaźnią myślałem, że już jej więcej nie zobaczę. Tęskniłem za nią i wzdychałem za jej widokiem. Nieraz sobie łamałem głowę nad wymyśleniem czegoś, coby mnie znowu do niej zbliżyło.

Gdybym zadzwonił do bramy Salvanches i wszedł nieproszony, mogłyby mnie babki kazać wyrzucić za drzwi. Wszak możnaby może przeskoczyć mur, otaczający polankę i na niej schowany za krzaki, oczekiwać Fridy. Lecz właśnie tego dnia mogłaby nie wyjść z domu.

Najlepiej będzie, gdy napiszę do niej list, położę pod Najadę na samym wierzchu i gdy przyjdzie do tego miejsca, to zaraz go zobaczy.

Ten sposób zdawał się najlepszy i zaraz przystąpiłem do jego wykonania. Pobiegnę do ojca pokoju, wziąłem ładny listowy papier i kopertę. Nie zastanawiałem się długo co mam pisać do mojej przyjaciółki — napisałem co mi dyktowało moje serce. Dużo czasu upłynęło od tego pamiętnego dnia zimowego, a dotychczas pamiętam naj-

dokładniej słowo w słowo, co zawierał mój pierwszy list. Oto mniej więcej co napisałem :

Kochana moja Frido!

Od chwili, kiedy ciebie pożegnałem, myślę tylko o tobie. Widzę cię ciągle, choć tak dawno cię nie widziałem. Przy lekcyi P. Berloquin, mojego profesora, byłem nieuważny i zostałem nawet ukarany za to, że twoje imię napisałem zamiast Kalipsy. Ale mnie to wszystko jedno. Szczęśliwy jestem, że mogę za ciebie cierpieć. Widzę ciebie jak stoisz przy pulpicie i śpiewasz ćwiczenia w pokoju panny Gertrudy, i polankę, i fontannę, i oranżeryę, gdzie na tle zieloności wyglądałaś jak księżniczka. Ale to dla mnie za mało, za mało. Ja tęsknię za chwilą, kiedy ciebie znów zobaczę, Chciałbym z tobą mówić i pocałować cię serdecznie. Celina nie chce już więcej odwiedzić naszych ogrodników, boi się, żeby ojciec nie dowiedział się o tem. Zresztą twoje babki nie prosiły mnie, ażeby was odwiedzić, a gdybym przyszedł, to pewnie kazałaby mi się zabierać. Otóż postanowiłem napisać do ciebie ten list, który znajdziesz koło fontanny w waszym parku, w któ-

rym proszę cię, żebyś przyszła w to miejsce od dziś za tydzień. Ja już tam będę i będziemy mogli porozmawiać ze sobą. Jeżeli mnie trochę kochasz, to przychyli się do prośby twego przyjaciela

Raula.

Przeczytałem z zadowoleniem ten list, zalepiłem go opłatkiem i napisałem adres :

Panna Frida w zamku Salvanches.

Na drugi dzień, ponieważ to był czwartek, p. Berloquin nie przyszedł. Nie wiele sobie robiąc z Celiny, która zajęta była praniem, po śniadaniu wymknąłem się z domu do ogrodu, a ztamtąd do miasta.

Powietrze było zimne a niebo zaciągnięte chmurami.

Śnieg skrzypiał pod nogami. Bardzo dobrze pamiętałem drogę i wkrótce wyszedłem na pagórek. Z daleka zobaczyłem wieże zamku Salvanches. Zamiast zadzwonić u głównej bramy, pomknąłem wzdłuż muru.

Serce mi biło ze strachu. Obawiałem się, że nie znajdę bocznego wejścia, że się mogę z kim

spotkać. Ale wszystko poszło jak z płatka. Uczyniwszy kilka kroków znalazłem wejście i w jednej chwili byłem w parku. Gęste drzewa otaczały polankę, na niej widać było Najadę, której z rąk zwieszały się sople lodu, błyszczące do słońca.

Schowany za krzaki, w niepokokoju czekałem, czy przypadkiem Frida się nie ukaże na końcu alei. Ale nikt się nie pokazał. W oddali tylko spostrzegłem unoszący się lekki dym, który rozwiewał się w powietrzu.

Przypomniałem sobie, że to teraz Frida uczy się lekcyi z Fräulein, wyciągnąłem więc list z kieszeni i położyłem na fontannie. W tej chwili doznałem niewymownego strachu i zacząłem uciekać ścieżką w pole.

Wkrótce strach przeminał i zacząłem iść wolno.

Szedłem tak zamyślony polem i nawet nie spostrzegłem, że niebo coraz więcej zaciągało się chmurami. Zimny wiatr powiał z daleka i zaczął padać drobny deszcz ze śniegiem. Z początku trochę tylko widać było śniegu, później jednak całą ziemię okrył puch miękki i biały. Ja także byłem ośnieżony.

Ta nagła zmiana powietrza zaniepokoiła mnie. Pomyślałem sobie co się stanie z moim listem, jeżeli tak dłużej śnieg będzie padać. Śnieg całkiem go zasypie, a gdy znów przyjdzie odwilż, to pismo rozmoknie do niepoznania. Ten niepokój nie dał mi zebrać myśli i nie zauważyłem, że zmy-

liłem drogę. Sporo czasu upłynęło zanim ją odnalazłem i dopiero nad wieczorem wróciłem do domu.

Cicho wszedłem do pokoju i z radością zauważyłem, że Celina zajęta bielizną, wyśpiewuje wesoło.

Korzystając, że mnie nie spostrzegła, prędko poszedłem do mojego pokoju, przebrałem buciki, wysuszyłem ręcznikiem surducik z wody i zszedłem na dół, ażeby ogrzać się przy kominku. Z tem wszystkim nie bardzo byłem spokojny.

Im więcej rozmyślałem nad moim listem, tem bardziej bałem się o niego. Jak tylko zjadłem kolacyę, położyłem się spać, ale sen nie przychodził.

Ciągle myślałem o nieszczęsnym moim liście i nie mogąc uleżeć na jednym miejscu, wstałem i przystąpiłem do okna. Jakaż była moja radość, kiedy spostrzegłem, że się wypogodziło i śnieg przestał padać. Ta zmiana uspokoiła mnie. Wyobraziłem sobie, że wiatr zwał śnieg i mój list leży widoczny pod opieką Najady. Postąłem jeszcze czas jakiś w oknie, potem położyłem się i zasnąłem mocno.

Na drugi dzień przyszedł p. Berloquin. Przez dwie godziny zajęty byłem rachunkami. Niepokoiłem się moim wybrykiem wczorajszym i za karę starałem się być uważnym przy lekcji, co mi się po części udało. Nawet dobrze wyrobiłem zadanie, które w pierwszej chwili zdawało się bardzo trudne: „Trzech robotników kopało studnię; pierwszy wykopuje dwa metry kubiczne ziemi dziennie, drugi trzy, a trzeci cztery; jak długo potrzebuje każdy z nich kopać, jeżeli studnia głęboka ma być na 44 metrów“? P. Berloquin tak był zadowolony z mego zadania, że dał mi dobrą klasę.

W sobotę przyjechał ojciec. Był zadowolony z podróży, a kiedy pokazałem dobrą moją klasę i Celina zapewniła, że w jego nieobecności sprawowałem się nienagannie, wyjął z kufierka książkę „Jerozolima wyzwolona“ i podał mi jako obiecany podarek z podróży, wiedząc, że lubię czytać książki opisujące waleczne i bohaterskie czyny.

Każdym innym razem byłbym z ochotą zabrał się do czytania, obecnie tak zajęty byłem Fridą i moim listem, że tylko od niechcienia przejrzałem książkę, a nawet nie zajęły mnie obra-

zki w niej się znajdujące. Wśród wierszów majaczyła mi się ciągle twarz mojej księżniczki, której wdzięk gasił tamte, opisywane przez Tassa.

Dnie poprzedzające moją schadzke, wydawały mi się nieskończenie długie. Chciałem aby ten dzień prędko nadszedł. Nareszcie doczekałem się oznaczonego dnia. Zrana powietrze się ociepliło i czas był bardzo przyjemny. Pomimo, że powinien byłem się cieszyć, iż nareszcie spełnią się moje życzenia, dziwny niepokój owładnął mną. Najprzód nie miałem pojęcia, jakim cudem będę się mógł wymknąć z domu, pilnowany przez Celinę i ojca. Bałem się, że niespodziewany przypadek zatrzyma mnie w domu. Potem ciekaw byłem, czy w Salvanches wszystko poszło jak należy. Czy Frida wyszła na polankę, czy znalazła mój list i co myśli.

W pierwszej chwili sposób, jakiego użyłem ażeby z nią się widzieć, zdawał mi się jedynym, teraz jednak wszelkie wątpliwości i niepokoje opadły mnie rojem. O ile pragnąłem, ażeby wskazówki zegara prędzej się posuwały, o tyle z radością byłbym je powstrzymał.

W końcu oczekiwana godzina nadeszła. Ułatwione miałem wyjście, bo ojciec wyjechał i zapowiedział, że na obiad nie wróci. Pojechał do lasu i nam mówił, że w leśniczówce czem bądź się pożywi. Ja zaś skosztowawszy cośkolwiek przy obiedzie, korzystając, że Celina myje naczynie, wymknąłem się z domu.

Choć ranek był chmurny, popołudniu chmury rozpraszały się coraz więcej i między niemi gdzieś ukazywał się kawałek blado niebieskiego nieba. Drzewa i krzaki okryte śniegiem połyskiwały brylantami. Ponieważ miałem dosyć czasu, naumyślnie obrałem dalszą drogę, ażeby wprost dostać się do otworu w murze Salvanches. Wejście to zastałem otwarte i ostrożnie wszedłem.

Przeszedłem początek parku, zarośnięty brzezina i skierowałem się ku polance. Powietrze było tak ciepłe, że sople lodu zawieszane na jaworach, ściekały w kroplach brylantowych.

Miałem wrażenie, że to już wiosna i mimowolnie patrzyłem, czy w trawie nie znajdę fiołków. Odczuwałem ten czas wiosenny i byłem pewny, że Frida zastosuje się do mojej prośby.

Myślałem, że czując powietrze takie ciepłe, nie powstrzyma się i wyjdzie na polankę.

Znalazłszy się koło miejsca wyznaczonego, wstrzymałem kroki i zacząłem nasłuchiwać.

Z początku panowała cisza zupełna. Po chwili jednak usłyszałem kroki nadchodzącej osoby. Nie myliłem się, ktoś się zbliżał do polanki. Nagle kroki ucichły. Przyszedłem do przekonania, że to Frida. Bo i któż inny mógłby nadchodzić?

W tej chwili niecierpliwie posunąłem się naprzód, podbiegłem i nagle stanąłem przestraszony. Ktoś mnie oczekiwał koło fontanny, ale to nie była Frida.

Był to jakiś straszny człowiek brodaty, w futrzanej czapce i w kurtce z guzikami a trzymający w ręce kij. Ze strachu cofnąłem się w tył, ale głos gruby: „stój“ kazał mi się zatrzymać. Mimowolnie nogi zadrzały podemną i pot wystąpił na czoło. Trząsałem się pod wrażeniem surowego spojrzenia.

Człowiek ten był wzrostu miernego; duże, szerokie usta, przypominały babkę Odilę. Postawa wyprostowana i ton rozkazujący, kazały się do-

myślać w nim wojskowego. Przybliżył się i wzięwszy mnie za rękę odezwał się:

— Czy to ty nazywasz się Raul?

Odpowiedziałem po cichu „tak“ a on kończył:

— Po co tu przyszedłeś? — W tym samym momencie począł wymachiwać swoją laską.

— Ja nie wiem.

— Ah! ty nie wiesz? poczekaj! Spróbuję ci przypomnąć — i wyciągnął z kieszeni złożony papier, który zaraz poznałem.

— Czy to ty napisałeś ten list do mojej córki Fridy? He?

Nie mogłem ze strachu wydobyć głosu i tylko kiwnięciem głowy potwierdziłem jego domysły.

— Dzieciak!... Ten list nie przynosi zaszczytu ani twoim uczuciom ani twojej ortografii. I myślałeś, że kładąc list pod Najadą, dostanie on się do rąk tej, do której był pisany? To guwernantka go znalazła i mnie wręczyła... Czytałem go i przyszedłem, ażeby się z tobą rozmówić; mamy rachunki do uregulowania. — Podniósł swoją laskę a mnie strach zdjął; ale on włożył ją następnie

pod pachę i wzięwszy mnie za rękę, rozkazał iść za sobą.

— Wytłómaczysz się tam w domu.

Próbowałem wyrwać rękę z jego uścisku, ale silnie mnie trzymał.

— Przepraszam pana... zacząłem. — Ja już tego nigdy nie zrobię... Proszę mnie puścić...

— Właśnie, że nie. Będę miał przyjemność porozmawiać z małym bohaterem. Nie wyrywaj się, bo to nic nie pomoże.

Był silniejszy odemnie i musiałem się poddać. Lecz tak idąc myślałem sobie, jaką też karę otrzymam? Czy mnie wybije, czy może zamknie w jakim tajemniczym schronieniu?

Wkrótce weszliśmy na ganek a ztamtąd do przedsionka. Tu mimowolnie westchnąłem na myśl, jak biedną musi być księżniczka, cierpiąc przez moją nierozwagę.

Pan Koeler wprowadził mnie tymczasem do pokoju i zobaczyłem tę samą salę z ciemnym futrowaniem, która służyła na jadalnię pannom Koeler.

W niepewnym świetle, które wpadało przez okno, widziałem papugę siedzącą w swojej klatce i przebierającą w ziarnie, a dalej pannę Odilę, zwijającą bawełnę, podczas gdy panna Gertruda czytała książkę. Zauważyłem z niejakim uspokojeniem, że ani Fridy ani Fräulein nie było w pokoju. Wiedząc, jaka kara mnie czeka, zadowolony byłem, że nie będą świadkami mego upokorzenia.

— Oto winowajca — rzekł p. Koeler prowadząc mnie naprzód.

Babka Odila podnosząc drut od pończochy rzekła :

— Słuchaj uważnie ! Za naszą gościnność ładnie nam się odwdzięczasz, pisząc niegrzeczny list do naszej bratanicy... którego na szczęście ona nie czytała. To nie w ten sposób postępują chłopcy dobrze wychowani!... Gdzieś się tego nauczył? Ale przede wszystkim, co zaszło między tobą a Fridą?

— Nic, proszę pani — odrzekłem...

— Nic? może ty kłamiesz? Musisz nam opowiedzieć, coście robili przez cały dzień przepeędzony razem?

— Rano słuchałem w tym pokoju, jak Frida uczyła się śpiewu. Potem panna Gertruda nam śpiewała różne piosneczki. Słuchając ich spostrzegłem, że Frida jest bardzo ładna i chciałem być pastuszkami jak w piosnce, ażeby jej powiedzieć, że ją kocham.

Panna Odila popatrzyła z wyrzutem na siostrę, która zarumieniła się i spuściła oczy.

— Oto widzisz Gertrudo skutki twojej nierozwagi. Co potem? — zapytała.

— Potem poszliśmy do parku, aż do fontanny, rozmawialiśmy o wrózkach, powiedziałem Fridzie, że jest najładniejszą z wrózek. Potem weszliśmy do oranżeryi.

— Ha, ha, ha — zaśmiała się babka.

— Potem — kończyłem zawstydzony — Frida usiadła pod klombem kwiatów... Była jeszcze piękniejszą, wyglądała jak święta. Przypomniałem sobie piosnkę panny Gertrudy i powiedziałem Fridzie, że ją także będę kochać. Wtenczas przyszła Fräulein i nas wyprowadziła.

— Czy to wszystko?... Frida nie prosiła cię, ażebyś do niej napisał?

— Nigdy panie!

A będąc wzruszony całą tą sceną, wykrzyknąłem składając ręce:

— Frida nie nie jest winna, proszę jej nie karać! Ja sam postanowiłem do niej napisać... Ja ją tak kocham, a będąc stęskniony i nie mogąc jej widzieć, prosiłem o schadzke, jak to czytałem w książce... Byłem taki bez niej nieszczęśliwy... — i w tej chwili rozplakałem się naprawdę

— Armes Kind! — westchnęła panna Gertruda i zwracając się do siostry i brata, rzekła: — Otóż widzicie, że nie ma w tem nic zdrożnego.

— So! — rzekła panna Odila — co myślisz Wilhelmie uczynić z tym małym?

Usłyszawszy te słowa strach mnie zdjął wielki i pomyślałem: otóż teraz będę ukarany.

Wszyscy troje zaczęli półgłosem rozmawiać po niemiecku. Wydawało mi się, że tylko panna Gertruda bierze moją stronę, ale ze zdziwieniem usłyszałem głos panny Odili, mówiącej po francuzku:

— Przedewszystkiem trzeba go poczęstować podwieczorkiem.

Zadzwonila na Kasię i coś półgłosem jej rozkazała. Po chwili przyniosła Kasia na talerzyku chleb i powidła.

— Siądź sobie grzecznie przy stoliku i zjedz ten chleb. Potrzebujesz posilić się.

Usiadłem smutny i zacząłem zajadać kromki chleba posmarowane powidłami, myśląc o ostatnim pożywieniu skazanych. Ale mając lat dziewięć ma się doskonały apetyt i pomimo zmartwienia zjadłem aż dwie kromki chleba.

— Teraz jesteś nasycony.

Przez ten czas okrutny p. Koeler zdjął z kołka szary płaszcz watowany i ubrał się.

— A więc ojciec twój mieszka w mieście?

— Tak... — wyjąknąłem blednąc.

— Dobrze... Zaprowadzisz mnie do niego... Spieszmy się, ażebyśmy wrócili przed nocą.

Byłem przerażony. W uszach mi dzwoniło. Patrzyłem nieprzytomny na babki, z zapytaniem czy dobrze słyszałem. Ze wszystkich męczarni, jakie tylko mogłem przypuścić, że mnie spotkają, ta jedna była najdotkliwsza.

Ojciec mój był prędko i co powie jak się dowie o moim liście i w jaki sposób wywdzięczyłem się za doznaną gościnność? Nietylko, że gotów mnie wypędzić, ale jeszcze oddalić Celinę. Zasmuciłem się, że moja opiekunka będzie w niedostatku. Wszystkie te następstwa przesunęły się w moim umyśle i chcąc się ratować odpowiedziałem:

— Niech pan się nie fatyguje mnie odprowadzić. Ja sam trafię do domu.

— Nie — odpowiedział — to tak nie idzie... Będzie mi bardzo przyjemnie porozmawiać przez drogę z chłopcem, który takie ładne pisuje listy!. A zarazem z przyjemnością poznam pana Laignier... Ukłoń się tym paniom i chodźmy.

Obróciłem się skruszony do babek. Myślałem, że wzruszy je moja skrucha i choć słówkiem za mną przemówią... Ale tylko panna Gertruda kładąc książkę na kolanach popatrzyła na mnie z żalnością. Panna Odila odburknęła niezadowolona:

— Bądź zdrów nicponiu... Staraj się nadal lepiej zachowywać. Dobranoc, dobranoc.

Wyszędłem zawstydzony pod opieką pana Koeler. W tej chwili papuga ze swojej klatki odezwała się zachrypniętym głosem: Guten Abend, guten Abend. Dobranoc, dobranoc.

Kiedy znaleźliśmy się w ogrodzie, zachodzące słońce pozłacało front domu Salvanches. Obróciłem się mimowolnie i spoglądałem na ten dom, z którego na zawsze zostałem wydalony. I zdawało mi się, że w jednym z okien parterowych ujrzałem sylwetkę Fridy. Zaledwie ją spostrzegłem, kiedy sucha ręka zasłoniła okno firanką. Pewnie to była Fräulein. Nie wiem czy p. Koeler domyślił się czego, ale silniej ścisnął moją rękę i pociągnął mnie za sobą.

— Czy dobrze się przypatrzyłeś tej ulicy i tej bramie? — zapytał,

— Tak panie!

— Otóż staraj się zapomnąć, bo więcej przez nią nie przejdiesz. Co do bocznego wejścia w murze, murarze jutro go zamurują.

Popchnął mnie naprzód, zatrzasnął bramę i ściskając moją rękę rzekł:

— Nigdy! słyszysz nigdy!

Próbowałem go zmiękczyć.

— Panie Koeler — wykrzyknąłem — przyrzekam panu nigdy nie widzieć Fridy. Lecz pozwól mi pan iść samemu.

— Bardzo mi przykro... ale to być nie może.

— Dopiero sobie przypomniałem, że ojciec rano pojechał do lasu i jeszcze pewnie nie wrócił.

— Bah! to na niego poczekamy.

Nieobecność mego ojca była jedyną moją nadzieją. Nieraz zdarzało się, że jak daleko pojechał, to nie wracał tego samego dnia, tylko nocował gdzieś na leśniczówce. W cichości prosiłem Boga, ażeby to ostatecznie przypuszczenie sprawdziło się. Chociaż p. Koeler był zły, ale nie miałby cierpliwości długo czekać.

On przyspieszał kroku. Zaledwie mogłem mu nadażyć. Ten człowiek znał krótszą drogę

i nie omieszkał z niej korzystać. To też coraz bliżej byliśmy domu. I właśnie kiedy schodziliśmy na dół, zegar wybił czwartą godzinę.

— Czy ty chodzisz do szkoły? — zapytał z nie-nacka P. Koeler.

— Nie. Biorę lekcyę od p. Berloquin. Ojciec chciał, ażebym uczył się w domu.

— Mam mu to za złe... Gdy młode psy zaczy-nają kąsać, trzeba im włożyć kaganiec i obrożę.

Mówił to ironicznym tonem i wywnioskowałem, że kara ostra mnie nie minie. Cieszyłem się, że mogę cierpieć dla miłości Fridy. Przypominałem sobie widzianą jej sylwetkę w oknie, z czego wnioskowałem, że chciała tem dać dowód swojej przyjaźni. Tłómaczyłem sobie, że to zaszczyt cierpieć dla niej i postanowiłem mężnie zno-sić moją pokutę. Zawsze jednak miałem nadzieję, że ojciec mój będzie nieobecny w domu.

Śliczny plac miejski już otoczony był ciem-nością.

Nasz dom był położony przy sąsiedniej ulicy i tylko mieliśmy przejść most, ażeby być w domu.

— Ah! — pomyślałem sobie, słysząc jak woda szemrze — żeby jaka dobra wróżka zatrzymała ojca w lesie.

Niestety życzenie się nie spełniło... Pierwszą rzecz, którą spostrzegłem, było okno oświetlone w pokoju mego ojca... P. Koeler zadzwonił mocno i Celina wyszła otworzyć.

— P. Laignier jest w domu? — zapytał ojciec Fridy.

— Myślę, że tak — odpowiedziała moja bona przestraszona.

— Proszę go uwiadomić o moich odwiedzinach, a zarazem weź tego chłopca ze sobą.

Kiedy p. Koeler wszedł do pokoju mego ojca, Celina przerażona pociągnęła mnie do jadalnej sali.

— Na miłość boską, co się stało?

— Ach Celino, jesteśmy zgubieni!

— Ale przecież co?... Coś zrobił?

— Za długo byłoby to tłumaczyć... Uciekaj, bo pewnie mnie zawołają.

Zostałem sam w jadalnej sali, oświetlonej tylko ogniem z kominka. Ale nie mnie zawołano,

tylko Celinę. Byłem oddzielony tylko drzwiami od sąsiedniego pokoju, ale pomimo, że starałem się pochwycić coś z rozmowy, nie mogłem nic zrozumieć. Patrzyłem ciągle na drzwi, kiedy się otworzą i mnie zawołają. Ale nikt nie wyszedł. Nareszcie po dobrym kwadransie przyszła Celina.

— Teraz na mnie kolej — pomyślałem. Ale nim Celina się wróciła, usłyszałem odkorkowywanie butelek i napełnianie kieliszków.

Ojciec mój i Fridy byli w dobrych humorach i pili piwo.

Ta niespodziewana wesołość zadziwiła mnie. Przeczynałem jakąś okropną historję a skończyło się na picciu. Widocznie uważali mnie za dziecko i bawiła ich moja przygoda.

Upłynęła może godzina, zanim usłyszałem kroki p. Koeler przy drzwiach wchodowych. Celina czerwona i zapłakana, przyszła z zaświeconą lampą.

W tej samej chwili ojciec się ukazał. Trzymał list w ręku.

— Ślicznych rzeczy się dowiaduję! — Starał się być groźny, ale zauważyłem, że uśmiecha się pod wąsem.

— Smarkacz! Zaczyna już pisać listy do panien. To trochę za wcześnie... Poczekaj przynajmniej, aż będziesz znał ortografię... Czyś to ty wymyślił ten słodki bilecik?

— Tak ojciec — odpowiedziałem zawstydzony.

— Nie masz się czem chwalić... Jest w nim mnóstwo błędów.

Spuściłem głowę, ale uważałem, że ojciec nie jest zagniewany.

Ugrzeczniony dla kobiet, pełen względów, cieszył się pewnie, że syn tak wcześnie wchodzi w jego ślady. To dodało mi trochę otuchy.

— Co jest nagannem — rzekł patrząc na Celinę — że w mojej nieobecności dom jest źle pilnowany... Żeby mi się to więcej nie powtórzyło, słyszysz Celino?... Byłbym zmuszony oddać cię natychmiast... Zresztą ponieważ nie mogę spuścić się na ciebie, w inny sposób sobie poradzę. Od stycznia Raul będzie oddany do zakładu.

I w rzeczywistości ojciec dotrzymał słowa.

W krótko Celina spakowała mój tłumoczek i ojciec odwiózł mnie do zakładu Gille-de-Trèves.

Wmawiałem w siebie, że rycerze znosili więcej mąk, kiedy walczyli za swoje damy i to mnie pocieszało. Ale o Fridzie nie miałem żadnej wiadomości.

Kiedy czasem przechodziliśmy spacerem koło Salvanches, wzrok mój kierowałem między drzewa parku, w nadziei, że może kiedyś zobaczę moją księżniczkę.

Niestety ścieżki były puste. Drzewa okryte liśćmi nie dozwalały nawet widzieć domu.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że moją małą przyjaciółkę taki sam los spotkał, jaki był moim udziałem. Pan de Koeler oddał ją za Sacré-Coeur w Kientzheim.

W rok ojciec mój został przeniesiony w inne strony i wszystko się skończyło.

Nigdy już nie słyszałem o Fridzie.

Wiele lat przeszło nad moją głową. Od dawna panny Koeler spoczywają pod zieloną murawą na miejskim cmentarzu. Frida może jedna jest między żyjącymi, a może i papuga, bo ludzie twierdzą, że papugi żyją lat setki.

Ale ile razy zobaczę śnieg padający białymi płatami, przypomina mi się moja śliczna księżniczka z Salvanches. I jak kwiaty o tej samej porze wiosennej zakwitają, tak i w mojej pamięci obraz Fridy odnawia się — widzę jej postać białą i słyszę jej głos melodyjny w starym pokoju panny Gertrudy.

Z każdą nową zimą obraz ten występuje wyraźniej i pozostawia po sobie sen złoty, jak zamku zaczarowanego.



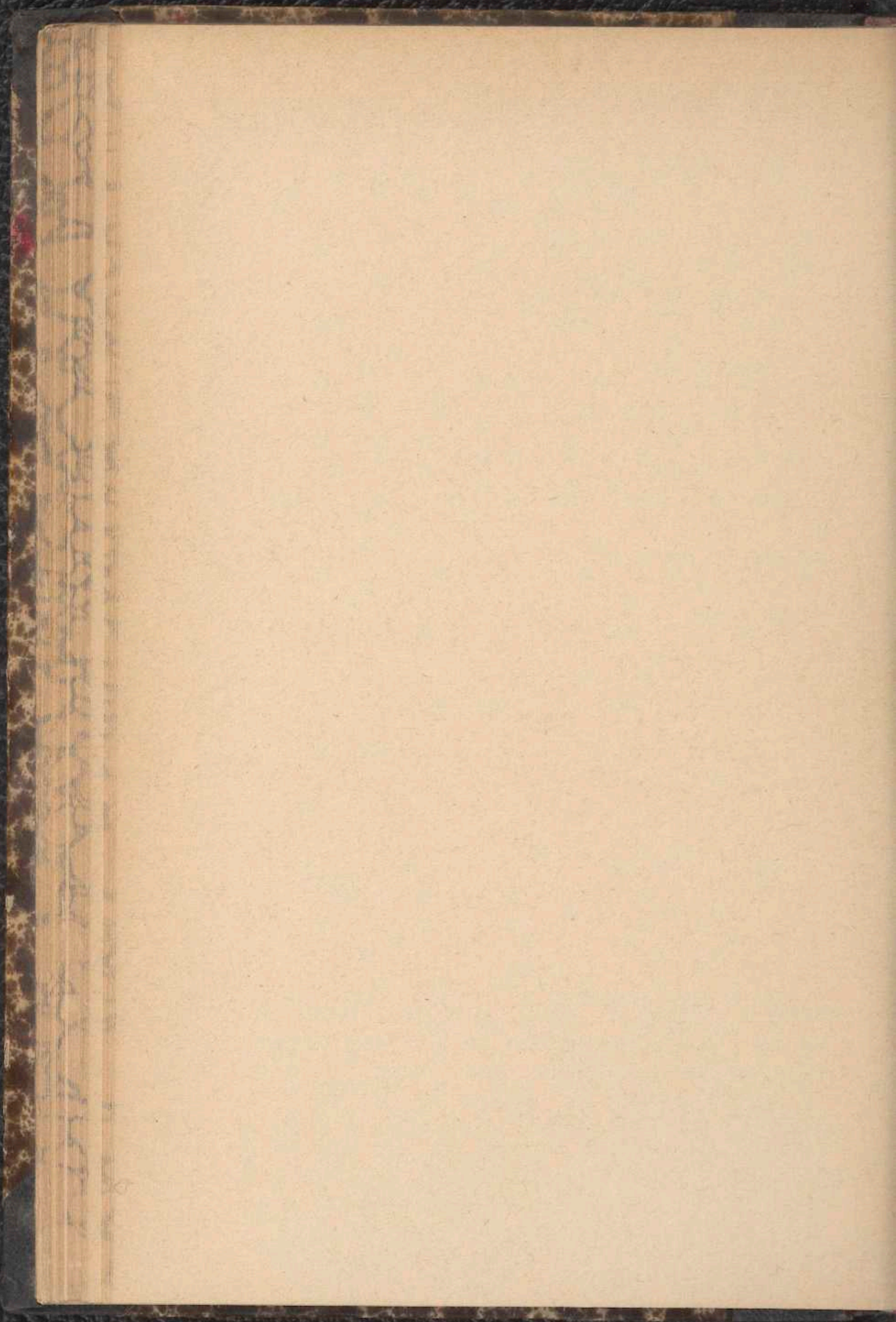
Harding Davis



Złote Serduszko

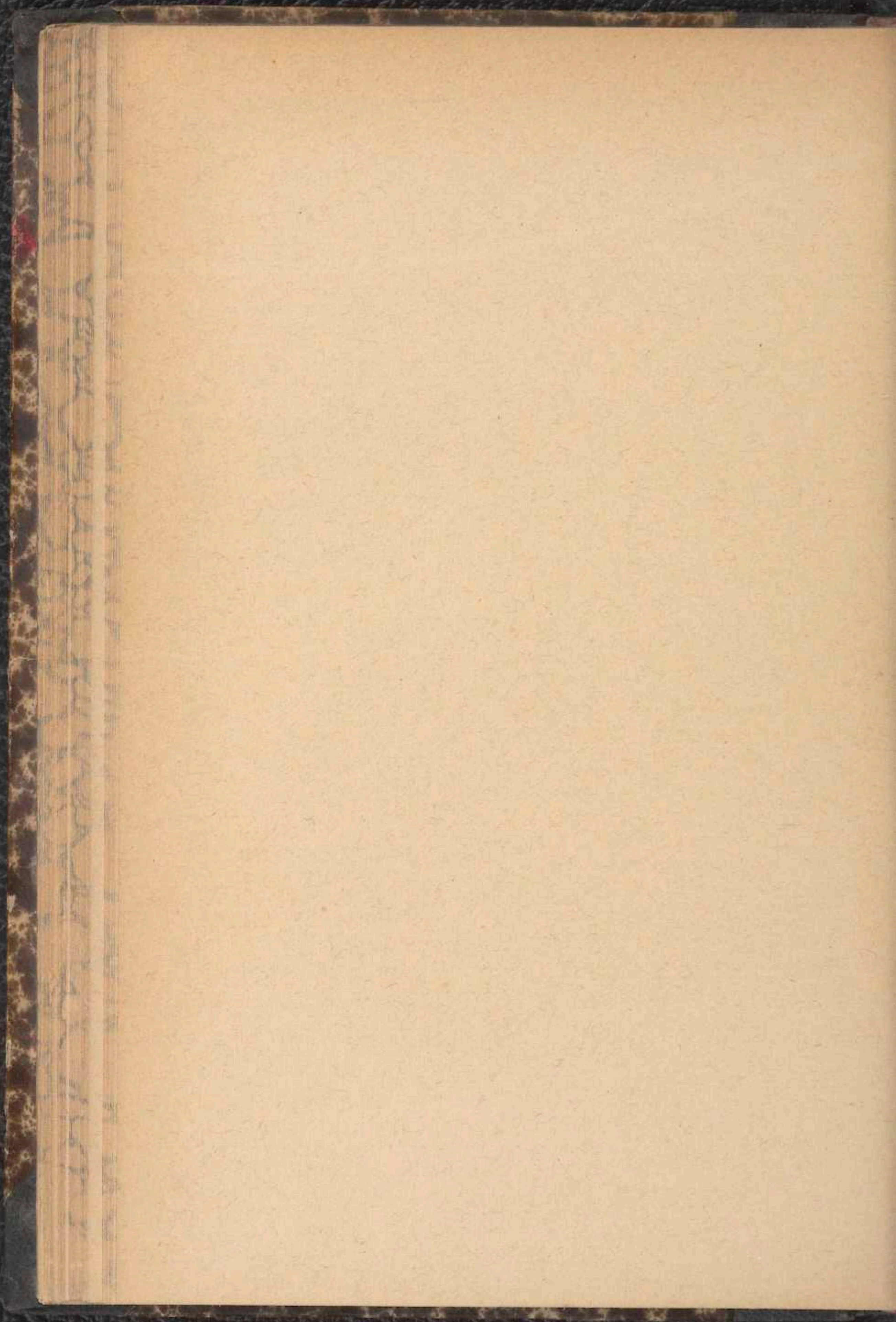
przekład z angielskiego.





ZŁOTE SERDUSZKO





Mistress Trevellian, zanim usiadła na swem miejscu gospodyni domu, obrzuciła bystrym wzrokiem długi stół obiadowy, jego nakrycie, gości, zajmujących przy nim miejsca, a potem spojrzała pytająco na swego męża, starając się odgadnąć, czy jest zadowolony.

Mąż jej jednak w tej chwili był zajęty tem, co mu mówiła lady Arboutnoth, jego sąsiadka po prawej stronie, a będąc tylko mężczyzną, nie zrozumiał czego żona od niego chciała.

Natomiast żona ambasadora austriackiego, jej serdeczna przyjaciółka, w lot zrozumiała jej spojrzenie, pojęła wszystko, oceniła i uśmiechnawszy się szybko do gospodyni z za wachlarza,

dała jej wzrokiem do poznania, że wszystko jest w największym porządku.

Mistress Trevellian uspokoiła się i z tryumfującą miną zaczęła ściągać z rąk rękawiczki.

Wogóle mówiąc, nie odznaczała się wcale nieufnością do swych zdolności gospodarskich, dzisiejszy obiad jednak był do pewnego stopnia improwizacją z jej strony i dlatego obawiała się cokolwiek. Obawy jej zresztą były najzupełniej płonne, acz uzasadnione, ponieważ obiad ten miał być szczególnie udałym: był ostatnim w tym sezonie, wydany był nad program, z nadzwyczajnej okazji, wskutek czego odróżniał się w swej istocie od wszystkich innych proszonych obiadów, które w ostatnich tygodniach przeszkadzały towarzystwu rozjechać się pod koniec lata; dzisiaj było wiadomo, że jutro rozpocznie się ogólny wyjazd z Londynu.

Nic więcej nie przeszkadzało wyjazdowi zebranych tutaj gości. Każdy wiedział, że ma spakowane kufry, walizki pozamykane, a z obowiązkami wielkiego świata rachunki wszystkie zamknięte. Każdy już naprzód rozkoszował się przy-

szłym wypoczynkiem i skłonny był do oddawania się bez troski przyjemności bieżącej chwili, dlatego też wszyscy byli w doskonałym humorze. Ze wszystkich stron dawał się słyszeć wesoły śmiech i ożywiona rozmowa, prowadzona półgłosem.

Szklanne drzwi sali jadalnej były otwarte na oścież, a przez nie wdzierał się do pokoju orzeźwiający zapach zieleni i kwiatów; dom znajdował się w niewielkim ogródku, odosabniającym go od reszty miasta tak doskonale, że można było sądzić, iż nie znajduje się w środku miasta. Lekki wietrzyk ciepłej letniej nocy zlekka kołysał płomieniami świec, donosząc z ulicy oddalony i nieprzerwany turkot powozów, pędzących po asfaltowym bruku.

Dobór gości, którzy zajęli miejsce dokoła stołu, był przypadkowy: gospodarstwo nie mieli na celu uczczenie lub ugoszczenie kogoś specjalnie, lecz poprostu dali sposobność gronu znajomych porozmawiać z sobą i pożegnać, nim udadzą się na własnym jachcie do Southhamptonu, albo też pociągiem pospiesznym do parowca dążącego zagranicę.

Wszyscy znali się między sobą, a jeżeli ogólna uwaga mogła się na kimś skupiać, to przede wszystkim na dwóch gościach pochodzenia amerykańskiego; jednym z nich była miss Egerton, narzeczona lorda Arboutnotha — matka jego była sąsiadką z prawej strony mr. Trevelliana — drugim zaś mr. Gordon, młody podróżnik, który dopiero co powrócił z Afryki.

Miss Egerton była piękną; delikatne jej rysy z równoczesnym energicznym wyrazem twarzy uderzały Anglików nie mniej, jak skupiona powaga, z którą umiała się przysłuchiwać poważnym rozmowom.

Trevellian, który przez cały ubiegły sezon malował jej portret, zachwycił się nią do niemożliwości i porównywał ją to z Normą, to z westalką, to z boginią grecką.

Przyjaciele lady Arboutnoth, którzy szczególnie chcieli schlebiać młodej cudzoziemce, zapewniali ją, iż trudno uwierzyć, aby była Amerykanką.

Miss Egerton uchodziła za osobę nadzwyczajnie ambitną, a chodziły wieści, że karyera par-

lamentarna jej narzeczzonego budziła w niej niesłychane zajęcie.

Zresztą narzeczeni byli w sobie zakochani wzajemnie bez pamięci, aczkolwiek starali się nie okazywać tego, jak to w ogóle przyjętem jest w wielkim świecie.

Reszta towarzystwa składała się z jenerała sir Henryka Kenta i znanego powieściopisarza mr. Philippsa, ambasadora austriackiego z żoną, Trevelliana malarza portretowego, który za swoje portrety brał olbrzymie sumy, a niekiedy malował tylko z prostej miłości dla sztuki, jego żony, oraz kilku osób z eleganckiego świata obojga płci. I oni także umieli słuchać, ale wydawało się, że do pewnego stopnia rozczarowani są tem, iż podróżnik afrykański nie więcej zdziaczał i nie jest więcej opalony od słońca, jak pierwszy lepszy Anglik, który nigdy nie opuszczał swej ojczyzny i zajmował się tylko sportem domowym t. j. lawn-tennisem, grą w piłkę nożną lub jeżdżeniem łódką po Tamizie.

Najgorszem było to, że sam Gordon za żadną cenę nie chciał udawać lwa.

Dopiero przed dwoma tygodniami powrócił do Londynu, do łona cywilizacyi — jeżeli za miejsca ucywilizowane nie będziemy uważali ani Kairu, ani hotelu Sapharda. Natychmiast po przybyciu przyjęto go z otwartemi ramionami, a wszystkie lepsze domy Londynu wyrywały go sobie formalnie.

Przez pierwszy tydzień bywał wszędzie, za każdym razem jednak, gdy gospodyni domu szukała go, aby go przedstawić jednemu z lwów ubiegłego sezonu, okazywało się, że w tej chwili zajęty był właśnie drobnostką, albo przynosił porcję lodów dla jakiejś staruszki zapomnianej w kącie, albo też w kole młodzieży wygłaszał rozprawę o polowaniu na słonie lub o międzynarodowym klubie wioślarskim. Słowem, nie chciał o tem wiedzieć zupełnie, że kilkuset ludzi w tej chwili czeka na niego z utęsknieniem w salonie, mając zamiar osaczyć go arcygłęboką rozmową o Afryce, rozmową, do której temat przygotowali sobie zawczasu wszyscy na cześć znakomitego podróżnika.

W drugim tygodniu swego pobytu w Londynie mr. Gordon zniknął nagle, a tymczasem se-

zon dobiegał do końca i rozliczni reporterzy, wydawcy, urządzający wykłady publiczne, kandydaci na lwów wielkoświatowych i nawet osobiści przyjaciele Gordona szukali go pilnie wszędzie i już stracili nadzieję złowienia go.

Nagle Trevellian, który go znał jeszcze z czasów, gdy był w Afryce korespondentem i rysownikiem jednej z pierwszorzędných ilustrowanych gazet londyńskich, spotkał go przypadkowo w przeddzień obiadu w klubie i natychmiast nim owładnął.

Gordon początkowo stanowczo odmawiał zaproszeniu na obiad, gdy jednak Trevellian wyliczył mu wszystkich, którzy przybędą, podróżnik namyślił się, i przyrzekł, że się stawi.

Mistres Trevellian była z tego bardzo zadowolona; wyróżniała go zawsze i zawsze nazywała go bardzo miłym chłopcem; od tej pory stał się znakomitością, ona jednak nie przestawała go cenić, chociaż, co prawda, już nie tak otwarcie wobec świata wygłaszała o nim swoje zdanie.

Ubolewała nad tem, iż zapomniała go się spytać, czy zna się z swoją prześliczną rodaczką,

potem jednak przyszła do przekonania, że prawdopodobnie się zna, gdyż jeżeli się nie spotkali w Ameryce, to musieli się spotkać w Londynie, dlatego że oboje odgrywali rolę bohaterów dnia i sezonu w jednych i tych samych salonach.

Obiad dobiegał końca; panie przez stół podawały sobie wzajemnie adresy, obsypując się czułościami, mówiąc:

— A niechże pani nie zapomni zajechać do nas do Paryża!

Albo też:

— Pani kiedy wyjeżdża z Coves?

Wszystko to było mówione z takim ożywieniem, a w pokoju taki był przyjemny zapach kwiatów, win, owoców, że niejako przykro było pomyśleć, iż ludzie tak przyjemnie spędzający czas, muszą się wkrótce rozstać, chociażby tylko dlatego, aby się porozkoszować resztkami lata.

Tę myśl właśnie, w bardzo eleganckiej formie starał się wyrazić gospodyni domu ambasador austriacki, gdy nagle sir Henry Kent, który przez cały czas rozmawiał z powieściopisarzem Philippsem, rzucił się w tył na poręcz krzesła i rzekł

głośno, starając się widocznie zwrócić na siebie uwagę wszystkich:

— Nie, mr. Philipps, nie zgodzę się z panem za żadną cenę, a jestem przekonany, że każdy z obecnych uczyni to samo, co ja.

— Ach, mój Boże — rzekła żałośnie mistress Trevellian — coś pan tam naopowiadał, mr. Philipps? Oto człowiek — mówiła dalej gospodyni, zwracając się do reszty gości — oto człowiek, który trzyma się tylko tem, że wygłasza najnie-możliwsze zapatrywania.

— Wprost przeciwnie, mistress Trevellian — odezwał się powieściopisarz — tym razem wina spoczywa nie na mnie, lecz na sir Henrym. Wi-
dzi pani, zaczął przeczyć jednej z naszych naj-
drogocenniejszych właściwości, uświęconej wiekami.

Mr. Philipps przerwał sam sobie, pozwalając mówić jenerałowi; sir Henry skinął jednak tylko prosząc go, aby mówił dalej.

Powieściopisarz kończył:

— Jenerał twierdzi, że zmyślane wydarzenia są daleko ciekawsze niż prawdziwe. Powiada, że... ja... słowem, że pisarze nie mogliby nigdy zająć

czytelnika, gdyby opisywali życie takim, jakim ono jest. Jego zdaniem, literaci wybierają z życia każdego człowieka tylko chwile krytyczne i chcą wmówić w publiczność, że to jest istotny punkt widzenia, podczas gdy, zdaniem jenerała, jest to tylko fantazya. Przypuszcza on, że życie wlecze się z dnia na dzień jednakowo i nie przedstawia w sobie nic szczególnego, a przynajmniej nic takiego, coby mogło dostarczyć tematu malarzowi lub dramaturgowi. Tak naprzykład godzi się z tem, że jeżeli kobieta się topi, to być może, że ją z wody wyciągną, zbawcą jednak bywa wcale nie jej ukochany, lecz prosty dozorca, człowiek obarczony rodziną i biedny, który z wdzięcznością przyjmie za swój trud pięć funtów szterlingów. Zdaje mi się, że dobrze pana zrozumiałem, jenerale?

Sir Henry Kent z uśmiechem wstrząsnął głową.

— Niezupełnie — odparł — twierdzą tylko, że gdyby się opisywało rzeczy tak, jak one przedstawiają się w rzeczywistości, nie zajęłyby one nikogo. Ludzie żywi nie mówią nigdy tak, jak im każą mówić w powieściach lub dramatach na

scenie. W rzeczywistości wszystko jest daleko prościejsze, powszedniejsze, biedniejsze — i dlatego nieraz człowiek doświadcza rozczarowania...

Widziałem naprzykład, jak żołnierze padają na polu walki. Sądzicie państwo, że wołają wtedy:

— Niech umrę, ale ojczyzna będzie zbawiona!

Albo:

— Nareszcie dostanę awans!

Wcale nie! Żołnierz wytrzeszcza po prostu oczy na felczera i myśli:

— Może mi rękę odejmą!

Albo też:

— Umieram!

Oto wszystko! W czasie bitwy słyszy się, jak ranni jęczą i chrapią, widać, jak konie pędzą przerażone, człowiek wie, że z baterij nieprzyjacielskich sypią się na niego gradem kartacze — i gdzież tu czas do wymawiania wielkich słów?

Nie uwierzę nigdy, aby Pitt, wydając ostatnie technienie, rzekł:

— Teraz zmieńcie mapę Europy!

Człowiek, któryby istotnie był zdolny do zmienienia losu Europy, nie będzie tracił osta-

tniego tchnienia na wygłoszenie dowcipu. Powiedział to napewne jeden z jego sekretarzy lub lekarz.

A co się tyczy tego pana, który napisał: „Wszystko stracone, prócz honoru!” — to przecież wszystkim wiadomo, iż w swoim życiu przegrał więcej bitew, niż wygrał.

Nie, nie! Pan, mr. Philipps — tutaj generał podniósł stanowczo głos, jak człowiek, który czuje swą przewagę nad przeciwnikiem — ani pan mr. Philipps, ani pan mr. Trevellian, ani nie opisujecie, ani nie malujecie rzeczywistości taką, jaką ona jest. Szukacie bezwarunkowo kontrastów, potrzebne wam są niespodziewane efekty, na pańskim obrazie pojawia się nagle czerwony mundur, dlatego, że właśnie w tem miejscu potrzeba było jakiejś jaskrawej plamy. A ten czerwony mundur właściwie tutaj wcale się znajdować nie powinien.

Albo naprzykład w domu dzieje się jakaś okropna zbrodnia, a pod oknami wędrowni muzykanci grają jakąś znaną powszechnie melodyę. Dlaczego się to robi? Jedynie tylko dla kontrastu, ale wcale nie dlatego, aby tak się działo

w rzeczywistości. W tych dniach przecież Kateness opowiadał coś nadzwyczaj pouczającego w tym rodzaju.

— O, widzicie państwo, co za podstęp! — zawołał Trevellian. — Oczywiście już zawczasu chciałeś nas pan wprowadzić w zdumienie i dlatego przygotowałeś pan swoją mowę według wszelkich prawideł.

— Wcale nie — przerwał mu sir Henry, marszcząc brwi. — Kateness opowiadał, że gdy jeszcze nie był sędzią, lecz dopiero rozpoczynał karierę i zajmował się praktyką adwokacką w sądzie karnym, zdarzyło się raz, że musiał zawiadomić o wyroku dwóch zbrodniarzy, z których jeden był skazany na natychmiastową karę śmierci, a drugiemu ją odroczone.

Zrozumiecie państwo, jaki efekt z takiej sytuacji wydobyliby powieściopisarze lub dramaturdzy — generał wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po wszystkich. — Zbrodniarz, przypuśćmy, stoi ze związanymi rękami na szafocie, przygotowany na śmierć, i nagle zdaleka widzi,

jak galopem pędzi jeździec, wstrząsając w powietrzu białym papierem i t. d.

No, a Kateness zamiast tego, wszedł do celi, w której znajdował się więzień i rzekł do niego:

— John, czy tam Wiliam, czy też — no, wszystko jedno, jak go tam zwano — karę śmierci ci odroczone,

A ten mu na to odpowiada:

— Czy być może? No, to dobrze, to bardzo dobrze.

I więcej nic.

Następnie Kateness udał się do drugiego, którego napróżno starał się wydobyć z matni i rzekł do niego:

— Minister spraw wewnętrznych stanowczo odmówił wstawić się za tobą do łaski monarszej. Chodziłem do niego wczoraj o godzinie dziewiątej wieczorem.

Zbrodniarz powinien był wydać okrzyk:

— Boże, co się stanie z żoną i z dziećmi!

Zamiast tego jednak popatrzył przez chwilę na adwokata i powtórzył:

— Wczoraj wieczorem... o dziewiątej...

Tak, jakby to dla niego było rzeczą najgłówniejszą.

— Więc cóż, jenerale — podchwycił Philipps z uśmiechem — przecież to i tak dosyć dramatyczne. Mojem zdaniem...

— Tak, tak — przerwał mu jenerał z tryumfującą miną — może to być coprawda dramatycznym, tylko pan przedstawiłbyś to zupełnie inaczej, wszak prawda?

— Jeden z moich kolegów — rzekł powoli lord Arboutnoth — człowiek z którym żyłem dość blisko, opowiadał mi raz w tajemnicy, co mu się przytrafiło w życiu, a była to jedna z najważniejszych przygód, jakie przeżył, i opowieść ta, mojem zdaniem, może służyć jak potwierdzenie myśli, wypowiedzianej przez jenerała.

Zareczył się; potem było jakieś nieporozumienie czy sprzeczka... w ogóle stało się coś takiego, co im obojgu otworzyło oczy. Było to na balu. Nazajutrz rano pojechał do niej z wizytą; piła herbatę i oboje siedząc przy małym stoliku w salonie, doskonale zastanowili się nad swoją sprawą i doszli do przekonania, że trzeba się rozstać.

Gdyby to było na scenie, bohater odchodząc, powiedziałby:

— Komedya skończona, rozpoczyna się tragedia.

Bohaterka z rozpaczą siadłaby do fortepianu i zaczęłaby grać marsz żałobny Szopena.

Zamiast tego, on nie mówiąc ani słowa, wstał i przez nieuwagę potracił filiżankę, która razem ze spodeczkiem upadła na podłogę.

— Oh, przepraszam! — zawołał.

— Nic nie szkodzi, filiżanka się nie stłukła — odparła.

Rozstali się na zawsze.

Otóż widzisz pan, mr. Philipps — ciągnął dalej lord Arboutnoth — były tutaj dwa młode serca, które druzgotały swoją przyszłość, a tymczasem oboje rozmawiali o filiżance; i nie dlatego, aby to byli ludzie bez uczucia, lecz dlatego, iż tak się ułożyły nasze obyczaje, a przyzwyczajenie jest zawsze od nas silniejsze. Nie mówimy i nie czynimy nic teatralnego, a w tem spoczywa cała prawda.

— Bez wątpienia — podchwycił z żywością ambasador austryacki. — A przytem zauważcie

państwo, jakim ważnym przywilejem cieszą się dramaturdzy i powieściopisarze: spuszczają kurtynę, kiedy im się podoba, albo też zamiast tego, aby się wyplątać z kłopotliwego położenia kończą rozdział i — basta. Czy to jest sprawiedliwym? To nadużycie; taki sposób postępowania przeciwny jest wymaganiom przyrody. Wyobraźcie sobie państwo, jeden drugiemu zarzuca Bóg wie jakie zbrodnie, i nagle, gdy umysł nasz jest wzburzony i wstrząśnięty.. paf!... kurtyna spada albo rozdział zamknięty, następuje kilka kropek i koniec. Człowiek się spieszy z przewróceniem stronnicy, a tam opisywany jest zachód słońca, który się odbył w dwa tygodnie po opisywanych wypadkach.

Tymczasem sprawiedliwość wymaga, aby nam opowiedziano z początku, co odpowiedział przychwycony zbrodniarz, czy się tłumaczył i co się w ogóle stało w ciągu tych dwóch tajemniczych tygodni, które upływały przed zachodem słońca.

Mojem zdaniem autor nie powinien się ograniczać na opisywaniu samych krytycznych

chwil, pomijając to, co się dzieje przedtem i potem, ukrywając przed nami bieg rzeczywistego życia za takimi sztucznymi przegrodami. Mówię to naturalnie tylko o tych pisarzach, którzy mają pretensyę do istotnego realizmu.

Philipps ściągnął brwi i spoglądając uważnie po obecnych, rzekł:

— A więc nikt nie wystąpi w naszej obronie?

— Przecież to okropna rzecz, Philipps! — podchwycił ze śmiechem Trevellian. — Z tego wszystkiego wynika, że tylko jedni fotografowie zasługują na miano prawdziwych artystów... No, czuję, że jestem winien...

— Naturalnie, teraz masz pan zupełną słuszość — rzekł wesoło generał.

Był bardzo z siebie zadowolony, dlatego, że mu się udało zbić z tropu tylu rozumnych ludzi.

— A ja ręczę, że mr. Gordon godzi się ze mną najzupełniej — ciągnął dalej sir Henry z przekonaniem, skłoniwszy uprzejmie głowę w stronę młodego podróżnika. — On widział więcej świata niż każdy z nas i powie państwu na pewno, że rzeczywistość, aczkolwiek nieraz nadaje się do tego,

aby z niej zrobić powieść, to jednak sama w sobie nie przedstawia nic skończonego. Do tego potrzebnym jest talent artysty, tak jak naprzykład samorodny dyament, aby stał się brylantem, wymaga...

— O, na miłość boską, jenerale — zawołał Philipps — daj pan pokój! Moja ambicya nie jest do tego stopnia zacięta...

Gordon spuściwszy nisko głowę, kręcił powoli w dwóch palcach nóżkę kieliszka, przysłuchując się rozmowie. Nagle podniósł oczy z miną człowieka, który postanowił powiedzieć coś otwarcie, potem znowu je spuścił i rzekł tylko:

— Obawiam się, sir Henry, że nie będę się mógł z panem zgodzić.

Ci z obecnych, którzy jeszcze nie zdążyli wypowiedzieć swego zdania, doznali pewnego uczucia radości, dlatego że się niczem nie skompromitowali.

Ambasador austriacki przebiegał myślą, co właściwie powiedział i zastanawiał się nad tem, w jaki sposób możnaby się sprytnie wycofać.

Jenerał spojrział na Gordona i osłupiawszy na chwilę, rzekł:

— A to jakim sposobem?

— Napróżno powoływałeś się pan na tego świadka, sir Henry! — zawołał Philipps, uśmiechając się. — Gdyby nie on, pańska sprawa byłaby wygrana.

— Jestem przekonany — rzekł Gordon poważnie — iż wiele jest prawdziwych wypadków, opisywanych przez autorów, w których prawdziwość publiczność nigdy nie uwierzy. Jestto to samo co z zachodami słońca: wszyscy patrzyliśmy na nie, ale niech kto spróbuje odtworzyć je na płótnie, wszyscy krzykną, że takiego zachodu słońca niema i będą szydzili z artysty. Każdy z nas, mojem zdaniem, zna historye tego rodzaju, wypadki z własnego życia lub z życia sąsiada. A niema w nich nic fantastycznego, niema żadnych niezwykłych przygód: po większej części jest to historia jakichś nieziszczonych nadziei, ludzi, których spotkała okrutna kara lub przeciwnie, przykładnie nagrodził los, lecz nie w przyszłem, lecz w tem życiu; albo historye miłości...

Philipps, który uważnie i przenikliwie patrzył na młodego podróżnika, dodał nagle:

— O miłości w szczególności...

Gordon spojrział na niego przelotnie, jakby nie rozumiał, w jakim celu on to powiedział.

— Opowiedz pan jaką historję—rzekł Trevellian.

— Tak — rzekł Gordon, skinąwszy głową — w tej chwili myślałem o pewnej historyi. Przypuszczam, że nie mniej jest ciekawa i nie mniej dramatyczna, jak pierwsza lepsza z wydrukowanych powieści. Bohaterem jej jest człowiek, z którym spotkałem się w Afryce. Historia nie długa — dodał spoglądając po obecnych — ale kończy się głupio.

Nastąpiła zupełna cisza, pochlebniejsza niż prośby, aby opowiadał; światowcy, odgrywający rolę gości „bez głosu“, nastawili uszy, mając zamiar zapamiętać sobie każde słówko i następnie puścić je w kurs. Rozumieli, że zaraz usłyszą taką historję, jakiej jeszcze nie było w gazetach i nie dostanie się do książki, którą wydaje Gordon.

Mistress Trevellian uśmiechnęła się do swego byłego protegowanego zachęcająco; nie wątpiła

bynajmniej, iż jego opowieść będzie bardzo zajmującą.

Wszyscy zwrócili oczy na afrykańskiego podróżnika, jedna tylko Amerykanka skorzystała z tej chwili, aby spojrzeć na swego narzeczonego.

— Powracaliśmy z nad jeziora Chade do Mobangi — zaczął Gordon. — Szliśmy już przez cały miesiąc, niekiedy wodą, częściej jednak lasami i sądziliśmy, że wiele jeszcze upłynie miesięcy, zanim spotkamy białego człowieka, oprócz tych, których mieliśmy w naszym oddziale.

I oto raz pod wieczór, w gęstwinie lasu znalazłem takiego człowieka, leżącego pod pniem. Był ciężko ranny, zbity, rzucony na pastwę losu. Natknąwszy się na niego w takim miejscu byłem tak samo zdziwiony, jak bylibyście zdziwieni i państwo, gdybyście, jadąc po Trafalgar-square w powozie, zobaczyli, że na wasze konie rzuca się lew afrykański.

Byliśmy przekonani, że oprócz nas nie mogło być żadnych białych ludzi w tym gąszczu. Wiedzieliśmy, że Czampel starał się dotrzeć do tego miejsca, ale dotychczas niewiadomo, czy żyje

jeszcze. Doktor Shleeman zginał wśród ludożerców, a major Batums zawrócił z drogi o dwieście mil na północ od tego punktu, w którym się znajdowaliśmy. W żaden też sposób nie mogliśmy objaśnić sobie obecności tutaj tego człowieka: spadł niejako z nieba.

Porucznik Reuth, który był przy mnie w charakterze chirurga, wziął go pod swoją opiekę i tutaj rozłożyliśmy się na nocleg.

W godzinę potem człowiek ten poruszył się, otworzył oczy, popatrzył na nas i rzekł:

— Chwała Bogu!

Ucieszył się widocznie, że dostał się do białych ludzi. Potem natychmiast stracił przytomność. Wróciwszy po raz drugi do przytomności, zapytał słabym głosem, czy długo mu jeszcze pozostaje do życia. Ze wszystkiego było widać, że nie był to taki człowiek, którego możnaby było okłamać w danej chwili, to też Reuth powiedział mu, że może liczyć na dwie godziny.

Ranny skinieniem głowy dał nam do zrozumienia, że przyjął to do wiadomości i podniósłszy

rękę do kołnierza koszuli, zaczął go niecierpliwie targać. Z wysiłku stracił znowu przytomność.

Jak najostrożniej rozpiąłem mu koszulę i zobaczyłem, że ręka jego nerwowo trzyma srebrny łańcuszek, założony na szyi; do łańcuszka przyczepiony był złoty medaljonik w kształcie serca.

Gordon do tej chwili nie odejmywał oczu od końców palców, spoczywających na brzegu stołu; teraz podniósł powoli głowę i spojrział na młodą Amerykankę, siedzącą naprzeciwko niego.

Z początku słuchała jego opowiadania widocznie zupełnie obojętnie i przez cały czas z pewną czułością wpatrywała się w inteligentną i poważną twarz lorda Arboutnotha, który słuchał z uprzejmą uwagą.

Przy ostatnich słowach Gordona, rzuciła na niego piorunującym wzrokiem, w którym znać było głębokie niezadowolenie. Gdy w ślad zatem oczy podróżnika wyraziły coś w rodzaju uprzejmego zapytania, w oczach jej znać było coś niby strach, niby milczącą błagalną prośbę.

— Gdy nieznajomy przyszedł znowu do siebie — ciągnął dalej Gordon — poprosił mnie, abym zdjął

mu z szyi łańcuszek z medaljonem i oddał go pewnej młodej paniencie, którą według jego twierdzenia mogę spotkać albo w Nowym Jorku albo też w Londynie. Dał mi adres jej bankiera i rzekł:

„Zdejmij pan ten łańcuszek zaraz po mojej śmierci, zanim mnie pochowają i oddając go tej osobie, powiedz jej, że nigdy nie rozstawałem się z tym medaljonem, że służył mi jednocześnie jako talizman i magnes, że kiedy czułem, jak razem z moim oddechem medaljon ten podnosił się i dotykał mojej piersi, wydawało mi się, że to jej serce przytula się do mego i bije z niem razem.

Gordon zamilkł i zaczął znowu oglądać sobie paznokcie.

— Ale nie umarł — rzekł nagle, podnosząc głowę. — Reuth wyleczył go o tyle, że po tygodniu mógł już udać się w podróż za naszym oddziałem, naturalnie na noszach. Był jednak bardzo słaby, a w czasie odpoczynku albo spał, albo bredził w gorączce.

Urywkami dowiedzieliśmy się od niego, że tak samo jak my chciał dotrzeć do jeziora Chade, ale nie miał ku temu prawie żadnych środków.

Miał wszystkiego dwudziestu kilku tragarzy i kilku senegalskich żołnierzy; w swoim oddziale był jedynym białym i jego własni ludzie napadli go, zbili i porzucili w tym stanie, w jakim go znaleźliśmy, zabierając z sobą żywność i wszystką amunicję.

Przedsięwziął tę wyprawę, opierając się na samej tylko obietnicy rządu francuskiego, że zamianują go gubernatorem tej prowincyi, którą mu się uda zabrać, ale nie użyczono mu najmniejszego urzędowego poparcia. W razie niepowodzenia nie miał otrzymać nic, a gdyby mu się udało coś zabrać, to zdobyłby to swoimi środkami i na swoją własną odpowiedzialność.

W obec takich okoliczności wydawało nam się zadziwiającem i to, że jednak mógł dotrzeć tak daleko w głąb kraju. Zresztą zdawało się, iż nie miał świadomości tego, że wyprawa się nie udała. W duszy jego wszystko było owładnięte szczęściem, że żyje i powraca do kobiety, którą ubóstwia.

Gdyśmy się na niego natknęli w lesie, leżał tam już trzy dni sam i wiedząc, że umiera, my-

ślał o tem tylko, że jej już więcej nie zobaczy. Nie miał już ani cienia nadziei, tak że nasze zjawienie się wydawało mu się istotnym cudem.

Czytałem wiele o zakochanych, widziałem ich mnóstwo na deskach scenicznych i nawet w rzeczywistym życiu, ale nie pomyślałbym nigdy, że człowiek może żywić taką gorącą wdzięczność dla Boga za swoje wybawienie, odczuwać takie bezgraniczne szczęście, taki szalony zachwyt, a wszystko z powodu kobiety.

Gdy miał febrę, bredził o niej w gorączce, a gdy wracał do przytomności, nie mówił ze mną także o niczem innem, tylko o niej. Tragarze naturalnie nie rozumieli go, a ja być może byłem dla niego sympatycznym, albo też może mu było obojętnem przed kim otwiera swą duszę, aby mógł tylko o niej mówić. Dlatego też po sto razy musiałem słuchać jednej i tej samej historyi i we dnie, kiedy szedłem obok jego noszów i wieczorem, gdyśmy siedzieli dokoła ogniska.

Należy sądzić, że jego ukochana musi być wspaniałą postacią. Spotkał się z nią pierwszy raz na rok przedtem, na jednym z parowców wło-

skich, kursujących między Nowym Jorkiem a Gibraltarem. Podróżowała ze swoim ojcem, bardzo chorowitym człowiekiem, którego ze względu na stan zdrowia wysłano na zimę do Tangeru. Z Tangeru udawali się do Nizy i Cannes, wiosnę zamierzali spędzić w Paryżu, a następnie mieli się udać do Londynu na ten sezon, który się teraz właśnie kończy. On z Gibraltaru udawał się do Zanzibaru, a potem do Kongo.

Już pierwszego wieczora na pokładzie zaczęli z sobą rozmawiać, a w miesiąc potem rozstali się w Gibraltarze.

Przez ten krótki przeciąg czasu młoda dziewczyna nie tylko zakochała się w nim, lecz sama przyrzekła wyjść za niego zamąż.... jeżeli zechce się z nią ożenić; był to bowiem człowiek bardzo dumny. Duma była w tym wypadku dla niego obowiązkiem, dlatego że nie mógł jej ofiarować nic prócz siebie. Ona zaś przeciwnie znaną jest w szerokich kołach naszej ojczyzny, a przynajmniej rodzina jej należy do najstarszych w Nowym Jorku i posiada ogromny majątek.

Panienska ta, ze względu na swoje położenie i sposób życia, przedstawiała z nim najzupełniejszy kontrast: prowadziła życie kobiety światowej, a on tułał się po świecie. Był i inżynierem i korespondentem do gazet i w wojsku chińskim służył jako oficer; w Ameryce budował z początku mosty, a następnie brał udział w tak częstych tam drobnych rewolucyach; nareszcie wstąpił w szeregi wojsk francuskich w Algierze. Nie miał, jak to mówią, ani koła ani płota, ani dwora, ani rodu, ani plemienia ani ojczyzny, dlatego, że mając lat szesnaście porzucił swój kraj rodzinny, nie zaoszczędził ani jednego grosza i spodziewał się teraz zrobić karierę przy pomocy tej wyprawy, w głąb Afryki. Słowem, było to coś w rodzaju historyi Otella i Desdemony.

Dotychczas i życia nie prowadził takiego, aby można niem się chlubić: z jednej przygody wpadał w drugą, tułał się wiecznie, wiecznie się burzył, jak inni zapijają się prawie na śmierć; z jego działalności nie pozostawało ani śladu.... Prawda, z wyjątkiem mostów; te stoją do dnia dzi-

siejszego. Wszystko, co pisał, pochłaniały szpalty gazet codziennych.

Żołnierze, którymi dowodził, uważali niemal za półgłówka i mówili, że pragnie się tylko bić, a o powody bitwy nie pyta; a trzeba przyznać, że pisał z takim zapalem, z jakim się bił.

I tak, od szesnastego roku życia, gdy uciekł aby wstąpić na okręt, do trzydziestego, gdy spotkał się z tą kobietą, włóczył się po świecie bez celu, podobnie jak kamień spadający z wysokiej góry

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł ten człowiek na młodej dziewczynie z żywą wyobraźnią, która do tej chwili widywała tylko mężczyzn, grających na giełdzie lub sportowców zajętych końmi, albo też poprostu klubowych firmików. Szła drogą życia jak inni przechodzą po galeryach obrazów, z katalogiem w ręku, w którym co lepsze oznaczone jest gwiazdką. Nie wiedziała nic o szarym tłumie, który starał się zmienić w ludzi, o biedakach nie należących do jej sfery.

Nie też dziwnego, że ten awanturnik, który tak nagle wyrósł przed nią, zajął ją jaskrawością swych opowiadań o dalekich krajach, a główną rzecz tą namiętnością, z jaką rzucał się w swoje oryginalne przedsięwzięcia, podejmując je nie dla korzyści i dla sławy, lecz dla tego tylko, że mu się takie życie podobało. Z początku, prawdopodobnie to wszystko oszołomiło ją, a potem ujęło i pokonało.

Nieprawdaż, przecież to jest zupełnie możliwem?

Przedstawcie sobie państwo tych dwoje zakochanych, przechadzających się przez cały dzień na pokładzie, a po nocach siedzących obok siebie mając przed sobą ocean....

Niezwykła śmiałość tego, co on przedsiębrał, pewien blask, jaki towarzyszy każdemu podróżnikowi, udającemu się do tych strasznych krajów, z kąd tylko niewielu powraca z życiem, nareszcie malowniczość całego jego przeszłego życia....

Wszystko składało się na to, aby człowiek ten podzielał na wyobraźnię młodej kobiety.

Mnie się zdaje, że on się nawet nie starał o to i nie pozował wcale przed nią; sądząc ze wszystkiego, co mi opowiadał, nietylko nie starał się o pociągnięcie jej ku sobie, lecz przeciwnie, starał się nawet przeciwdziałać jej niezwykłemu zajęciu, jakie mu okazywała; co do mnie, to wierzę mu zupełnie na słowo.

Był on człowiekiem właśnie tego rodzaju, który podoba się kobietom; rzecz w tem jednak, że w liczbie kobiet, które go dotychczas kochały, nie spotkał nigdy podobnej. Nie mógł zrozumieć, jakie szczęście przypadło mu nagle w udziale, widział w tem jakiś znak niebieski, tak jakby bogini zeszła do niego.

Rozstając się z nią, rzekł do niej, iż jeśli jego przedsięwzięcie się uda, jeżeli mu się uda dotrzeć do tych niezbadanych krain i otrzymać wszystko, co mu przyrzeczono, wtedy powróci do niej.

Ona nazwała go wtedy swoim błędnym rycerzem, zawiesiła mu na szyi swój łańcuszek srebrny ze złotym medaljonem w kształcie serca i zapewniła go, że dla niej jest rzeczą obojętną,

czy jego przedsięwzięcie zostanie uwieńczone pomyslnym skutkiem, czy też nie, ona jednak będzie do niego należała duszą i ciałem, przez całe życie, do ostatniego tchnienia....

Zdaje się — rzekł Gordon, przerywając nagle swoje opowiadanie i jakby szukając czegoś w pamięci — tak, zdaje mi się, że powtarzał mi wówczas te same słowa.

Gordon podniósł znowu swe marzycielskie oczy na Amerykankę, siedzącą naprzeciwko niego, a potem powiódł je dalej, w górę, jakby starając się przypomnieć sobie dokładnie oryginalne słowa, jakie do niego wypowiedział ów awanturnik.

Miss Egerton była nadzwyczajnie blada, rysy jej twarzy zaostrzyły się wyrażając cierpienie, usta były silnie zaciśnięte, a oczy, zwrócone na mistress Trevellian, błagały, aby ich właścicielce pozwolono wstać od stołu,

Ale i gospodyni i inni goście nie zwracali na nikogo uwagi, prócz na Gordona.

Obiad się kończył, służba oddaliła się po cichu i nie przeszkadzało Gordonowi, aby podjął na nowo przerwane opowiadanie.

— Jeżeli zatem — rozpoczął, ożywiając się trochę — dla zakochanego przejazd w powozie od stacyi kolei żelaznej do siedziby jego ukochanej wydaje się nieskończonym i każe mu umierać z niecierpliwości, wystawcie [sobie państwo, jak musiało być na duszy temu nieszczęśliwemu, który wiedział, że znajduje się w Afryce środkowej, że ma jeszcze przed sobą przynajmniej sześć miesięcy drogi, zanim doścignie pierwszych kresów cywilizacyi.

Spieszył się i poganiał nas; przewracając się niespokojnie na swoich noszach, nawymyślał nieraz nietylko tragarzom, ale i mnie za to, że idziemy żółwim krokiem. Gdyśmy stawali na odpoczynek, gniewał się mówiąc, że to poprostu strata czasu; rano budził się wcześniej niż wszyscy jeżeli wogóle spał i natychmiast zaczynał nastawać na to, abyśmy się bezzwłocznie udali w drogę.

Gdy tylko był w stanie iść sam, tak nadużywał swoich sił, że znowu wpadł w gorączkę.

Nareszcie Reuth oświadczył mu, że tym sposobem zamaszeruje się sam na śmierć i dopiero

wtedy ten człowiek zgodził się ledz znowu na noszach i cierpliwie znosić swój oplakany stan.

A przez cały czas biedaczysko ubolewał nad tem, że jest jej niegodny, obwiniał siebie o to, że nadarmo stracił całą swoją młodość i nie umiał tak urządzić swego życia, aby mógł z godnością przyjąć to wielkie szczęście, jakie mu przypadło w udziale.

Bez wątpienia, każdy człowiek, jeżeli jest bardzo zakochany, mówi albo myśli to samo, ale w tym wypadku najgorszem było to, że miał najzupełniejszą słusność i tak wrażliwie to odczuwał. W rzeczy samej i pod każdym względem — z wyjątkiem swej bezgranicznej miłości — był jej niegodnym. Poprostu ze zgrozą patrzyłem na to jak szalał.

Koniec końcem wydobyliśmy się z lasu i doszliśmy do Aleksandryi; zobaczyliśmy znowu białych ludzi, usłyszeliśmy znowu głosy kobiece wysiłki nasze zostały uwieńczone pomyslnym skutkiem, trudy ustały, niebezpieczeństwa minęły; można było odetchnąć z uczuciem ulgi.

Chciałem się udać natychmiast do Londynu, ale musieliśmy przez cały tydzień czekać na parowiec, a przez ten czas przecierpiałem niemało od mego awanturnika. W istocie dokonał tylu rzeczy i niewątpliwie byłby dokonał jeszcze więcej nierównie, gdyby był miał choć na tyle środków, ile naprzykład ja posiadałem, to też postarałem się, aby jak najwypuklejš przedstawić jego działalność i zapewnić mu takie przyjęcie, na jakie zasługiwał w zupełności.

Nadaremne jednak były moje wszystkie zabiegi: nic go to wszystko nie obchodziło. Nie trzeba mu było ani publicznych owacyj, audyencji u Khedywa, ani odznaczeń, ani bankietów! Myślał tylko o tem, w jaki sposób dostać się najprędzej do niej.

Całe dnie spędzał na bulwarze, przypatrując się ładowaniu parowca i licząc godziny do chwili odjazdu; a po nocach, zamiast wypoczywać w łóżku, którego był pozbawiony przeszło przez pół roku, przychodził do mego pokoju i błagał mnie, abym z nim rozmawiał do świtu.

Pojmujecie państwo, że gdy mu się raz zdarzyło wyrzec się nadziei zobaczenia jej, to teraz, gdy znowu żył i miał nadzieję, miłość jego do niej zmieniła się w bałwochwalstwo. Skoro tylko znaleźliśmy się na parowcu, wszystkie jego obawy prysnęły jak bańka mydlana i ucichł znowu.

Pewnego wieczoru rzekł do mnie nagle:

— „Tak samo siedzieliśmy z nią razem we dwoje pod stropem ciemnoniebieskiego nieba, usianego południowymi gwiazdami i patrzyliśmy, jak dziób okrętu to wznosi się to opada na linii horyzontu. I teraz jeszcze słyszę jej głos i staram się wyobrazić sobie, że ona teraz tutaj siedzi, jak siedziała tej nocy, gdy jej rączki trzymałem w swych dłoniach“.

Gordon zamilkł na chwilę, a potem zaczął mówić wolniej:

— Nie wiem, czy dlatego, że w czasie naszej podróży lądem był ciągle bardzo wzburzony, czy też wskutek czegoś innego, dość, że zauważyliśmy, iż na parowcu słabnie coraz więcej, częściej zasypia, tak że Reuth nie na żarty zaczął się o niego obawiać. On sam nie przeczuwał że-

dnego niebezpieczeństwa: był tak przekonany o tem, że teraz bezwarunkowo będzie zdrów, iż wcale nie pojmował znaczenia swej wzrastającej słabości.

Napady omdlenia następowały coraz częściej, przeciągały się dłużej, pod koniec zaś po to tylko powracał do przytomności, aby się czemś posilić, a potem znowu popadał w omdlenie.

W czasie jednego z takich napadów skończył. Umarł na dwa dni przed przybyciem na miejsce! — Ponieważ nie miał ani gniazda, ani ojczyzny, ani rodziny, spuściliśmy go w morze. Po nim nie pozostało zupełnie nic, gdyż daliśmy mu nawet ubranie, aby miał w czem chodzić; nic... prócz łańcuszka z medalionem, który mi kazał zabrać po swojej śmierci.

Przy ostatnich słowach głos Gordona stał się bardzo suchym i zimnym. Zamilkł, wsunął rękę do kieszeni i wyjął małą skórzaną torebkę.

Wszyscy goście, wlepiwszy w niego oczy, śledzili każdy jego ruch. Otworzył torebkę i wyjąwszy z niej łańcuszek z matowego srebra z przyczepionym do niego złotym łańcuszkiem, rzekł cicho:

— Oto jest...

I nachyliwszy się przez stół, patrząc w oczy miss Egerton, położył przed nią łańcuszek i zapytał:

— Pani może życzy sobie obejrzeć to z bliska?

Inni goście, siedzący dokoła stołu, zaczęli wyciągać szyje i przyglądać się leżącej na białym obrusie małej kupce srebra i złota.

Miss Egerton jednak, z napół spuszczonej powiekami i silnie zaciśniętymi ustami, lekkim ruchem ręki odsunęła łańcuszek ze złotym medaljonem w stronę swego sąsiada, skłoniwszy zaledwie dostrzegalnie głowę, jakby najmniejszy ruch kosztował ją wiele wysiłku.

Młodziutka żona ambasadora austriackiego zlekka westchnęła i rzekła:

— Znajduję, że pańskie opowiadanie źle się kończy, mr. Gordon. Wszystko to zanadto smutne, a przytem bez widocznej konieczności.

— Nie wiem — odezwała się w zamyśleniu lady Arboutnoth — nie wiem, naprawdę. Przeciwnie, wszystko skończyło się jak najlepiej. Przecież według słów mr. Gordona, ten człowiek był jej nie-

godnym... Mężczyzna zaś prócz miłości powinien posiadać jeszcze inne zalety... Być kochaną, to przecież i tak niezaprzeczone prawo kobiety.

— Mojem zdaniem — zawołał generał Kent — gdyby wszystkie prawdziwe przygody kończyły się tak boleśnie jak ta, tobym cofnął moje protesty przeciwko autorom, niechby tylko wymyślali coś weselszego.

— Opowieść moja jeszcze nieskończona — rzekł Gordon zabierając ze stołu łańcuszek z medaljonem — jest i ciąg dalszy.

— Oh, w takim razie wybacz pan — zawołała milutka ambasadorowa — tylko przykrem jest, że trudno będzie dorobić wesoły koniec, gdyż tego biedaka już pan wskrzesić nie możesz!

— Nie, wesołego i dobrego nic też nie będzie — odparł Gordon — przeciwnie mogę tylko ściemnić ponure barwy.

— Aha! rozumiem — rzekł Philipps, odgadując przeczuciem zawziętego powieściopisarza, co się święci — młoda panienska?...

— Przyjechawszy do Londynu — ciągnął dalej Gordon — po pierwsze odszukałem bankiera, aby

się dowiedzieć jej adresu. Tego samego dnia napisałem do niej list z prośbą, aby mnie raczyła przyjąć; nie zdążyłem jeszcze otrzymać odpowiedzi, gdy nazajutrz przypadkowo spotkałem się z nią na pikniku. Nie podszedłem do niej, ale mi ją wskazano.

Zobaczyłem bardzo przystojną osobę, otoczoną gronem mężczyzn, i zapytałem, co to za jedna. Pokazało się, że to ona sama, ta sama panienska, do której pisałem list, dawniejsza właścicielka łańcuszka z medalionem.

W tej samej chwili dowiedziałem się także, że od niedawna zaręczona jest z Anglikiem z wyższego towarzystwa, że poznała się z nim niedawno przed kilku miesiącami, że jest w nim namiętnie zakochana.

Dlatego — dodał Gordon, uśmiechając się — może to i lepiej w rzeczy samej, że tamten umarł, pełen wiary w jej miłość i stałość.

Ponieważ mistress Trevellian, porozumiewszy się wzrokiem z lady Arboutnoth powstała od stołu, przeto wszystkie panie wyszły za nią z jadalni. Gdy znalazły się w salonie, jedna z nich

siadła do fortepianu, inne posiadały dokoła aby słuchać muzyki.

Jedna tylko miss Egerton, skarżąc się na upał, wyszła na balkon, wychodzący na ogród. Było tam ciemno i świeżo; odgłosy z miasta zamierały; można było pomyśleć, że stąd są tak samo daleko, jak i odblaski milionów światel miejskich, które na niebie tworzyły słabą lunę.

Młoda Amerykanka przyłożyła do ściany domu pałającą twarz i obnażone ramiona i zdawało się, iż nie czuje twardości kamienia; załamała ręce i ścisnęła palce z taką siłą, że pierścionkami poprzerywała sobie rękawiczki. Drżała na całym ciele, a krew kipiała w jej żyłach.

Wkrótce usłyszała w salonie męskie głosy, a muzyka ucichła na chwilę; melodia polala się znowu i w tej chwili jakiś cień przysłonił drzwi, przez które padało światło na balkon.

Gordon przestąpił próg i stanął przed nią, trzymając w ręce łańcuszek z medalionem. Wyciągnął do niej rękę i oboje stali w milczeniu naprzeciwko siebie.

— Może pani chcesz to otrzymać teraz? — zapytał wreszcie.

Miss Egerton podniosła głowę i wyprostowała się w całej swej postaci.

— Znajdujesz pan, że nie dość jeszcze mnie ukarałeś? — rzekła zaledwie dosłyszalnie — Albo może ciągle jeszcze jesteś pan niezadowolony? I pomyśleć, co za śmiałość!... Jaka wspaniałość! I tylko tego nauczyłeś się pan tam między tymi swymi dzikimi... Skazywać kobietę na katusze...

Głos odmówił jej nagle posłuszeństwa, załkała i obiema rękami schwyciła się za pierś.

Gordon spoglądał na nią najzupełniej z zimną krwią.

— A pani za nic uważasz te katusze i tortury, jakie zniósł człowiek, który z pani rąk otrzymał ten łańcuszek z medaljonem? Co znaczy kilka nieprzyjemnych chwil, jakie pani spędziłaś przy obiedzie w kole swoich znajomych, w porównaniu z tymi trudami, niebezpieczeństwami i fizycznymi cierpieniami, jakie on przeniósł z powodu pani?.. tak, z powodu pani, proszę o tem nie zapominać.

Amerykanka zakryła na chwilę twarz rękami; gdy je odjęła, policzki jej były zroszone łzami, a głos jej zmiekkł i zmienił się do niepoznania.

— Powiedziano mi, że umarł... Potem, prawda, zaprzeczono tej wieści, wkrótce jednak otrzymano w gazetach francuskich potwierdzenie jej z okropnymi szczegółami, jak się to wszystko stało.

Gordon postąpił ku niej na krok.

— A więc miłość pani znajduje się w bezpośredniej zależności od gazet, porannych i wieczornych? — mówił z gorzką ironją. — A więc, jeżeli jutro będą panią zapewniali, że Arboutnoth zdradził swój program polityczny lub też swoje stronnictwo, że jego samego można przekupić, że może głosować tak i owak, w celach korzyści osobistych, to pani natychmiast uwierzyłabyś temu i przestałabyś go kochać?

Z ust jego wyrwał się pogardliwy dźwięk, ostry i świszczący.

— Albo też być może — ciągnął dalej z goryczą — poczekalabyś pani, co powiedzą na to inne gazety, więcej liberalne?... I to się u pani nazywa miłością?... Czy to całe życie, cała dusza... nako-

niec to wszystko, co pani przyrzekłaś poświęcić dla tego człowieka i co on...

Rozległy się szybkie kroki, przygłuszone miękkim dywanem i w otwartych drzwiach ukazała się wysmukła postać młodego Arboutnotha. Zatrzymawszy się na chwilę wpatrywał się w ciemność.

— Miss Egerton? — zapytał Arboutnoth, oślepiiony jeszcze jaskrawem oświetleniem salonu i nie mogący nic rozpoznać w ciemności balkonu. — Pani tutaj?... Oho, ho, ho, a pani gdzie! — ciągnął dalej, podchodząc bliżej, skoro tylko zauważył jej białą suknię. — A mnie wysłano, abym panią odszukał. obawiano się bowiem, czy pani nie zasląbla.

A zwracając się do Gordona i jakby tłómacząc się ze swej troskliwości, dodał:

— Ostatni tydzień był szczególnie nużącym. Wszyscy mniej lub więcej jesteśmy zbici z nóg; a potem przy obiedzie wydawało mi się, że miss Egerton jest zanadto już zmęczona.

Skoro tylko zaczął mówić, Amerykanka niemal rzuciła się na jego spotkanie, ujęła go pod

ramię i przytuliła się do niego. Zdziwiła go taka niespodzianka, przyciągnął ją jednak bliżej ku sobie i rzekł cicho:

— Pani jesteś bardzo zmęczona, wszak prawda? Przyszedłem uprzedzić panią, że lady Arboutnoth odjeżdża... Czeka na panią.

Gdy tak stali obok siebie, rozmawiając po cichu, Gordon zdumiewał się ich pięknnością.

Tak, trzeba było przyznać, że te dwie istoty rzeczywiście stworzone są dla siebie!

Przed wyjściem lord Arboutnoth jeszcze raz odwrócił się, aby nacieszyć się widokiem woniejącego ogródka pod stropem nocnego nieba, w głębi którego jaskrawa łuna zdawało się współzawodniczyła z wspaniałym oświetleniem Londynu.

— Jaki rozkoszny i cudowny kącik! Żal go nawet opuszczać — rzekł Arboutnoth. — Żegnam pana, mr. Gordon, do widzenia, a dziękuję panu za opowiedzianą nam historię.

Miał już przestąpić przez próg, gdy nagle zatrzymał się znowu i roześmiawszy się, rzekł:

— A wiesz pan, podejrzujemy, iż zbłądziłeś pan na tym punkcie, o który obwiniałeś Phi-

lippsa. Wydawało mi się, że pan cokolwiek dodałeś. Powiedz mi pan otwarcie... Czy historia, którą nam pan opowiedziałeś, działa się w rzeczywistości?.. Albo też może ją pan zaopatrzyłeś w niektóre zmiany?... Wszak prawda, odgadłem przecież?... A zresztą być może, że i ja się mylę...

— Nie, nie mylisz się pan — przerwał mu Gordon — rzeczywiście zmieniłem pewien maleńki szczegół...

— A mianowicie jaki?

— O tem, że temu człowiekowi ani się śniło umierać.

Lord Arboutnoth westchnął ze szczerem współczuciem.

— Biedak! — szepnął — to naprawdę człowiek nieszczęśliwy!

I wyciągnawszy lewą rękę, ujął nią rękę Amerykanki, opartą na jego ramieniu, jakby przez to dotknięcie chciał się przekonać o rzeczywistości swego własnego szczęścia.

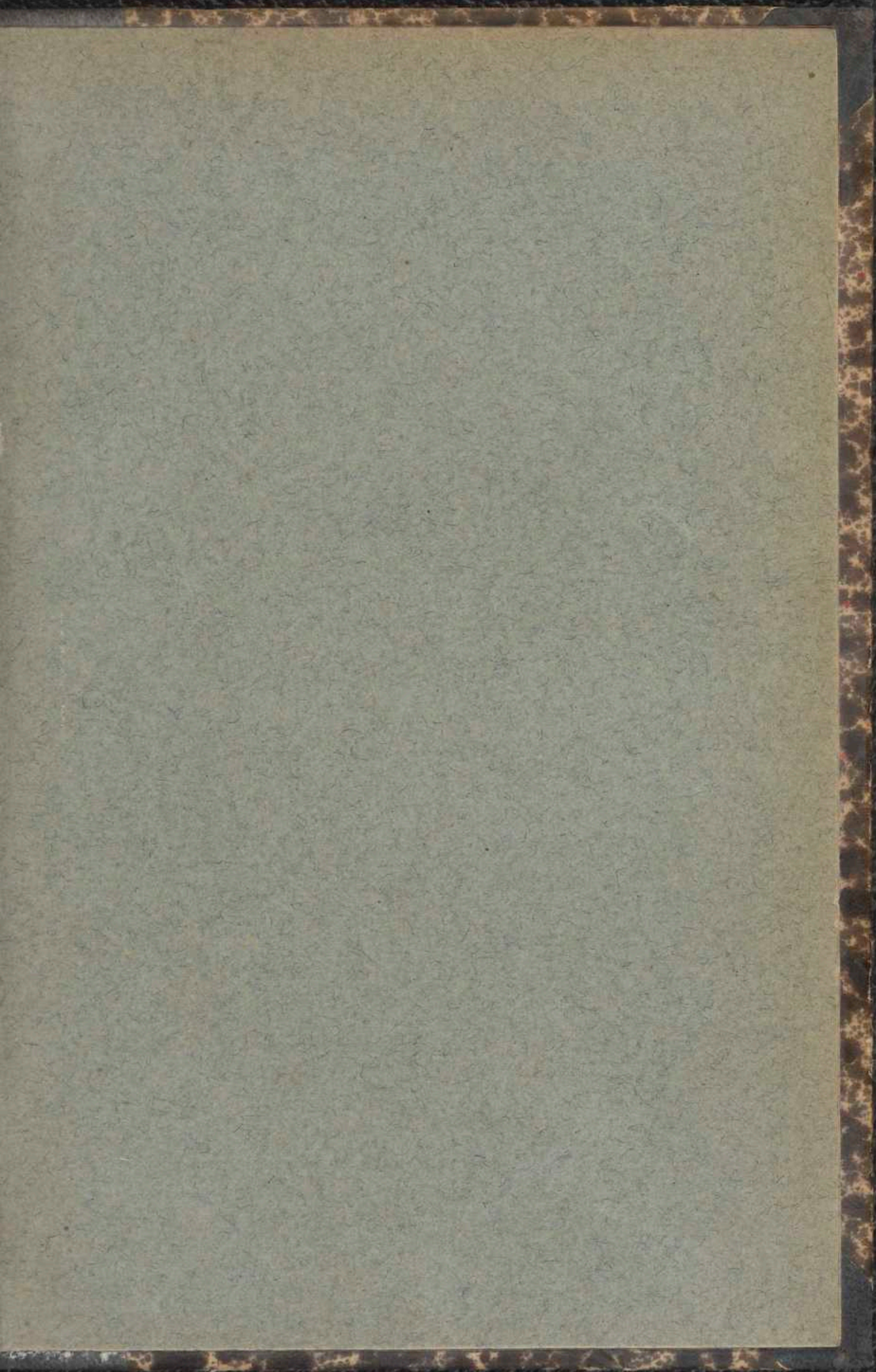
Następnie zwróciwszy na Gordona zdumione i pytające spojrzenie, rzekł silnie zmieszanym tonem:

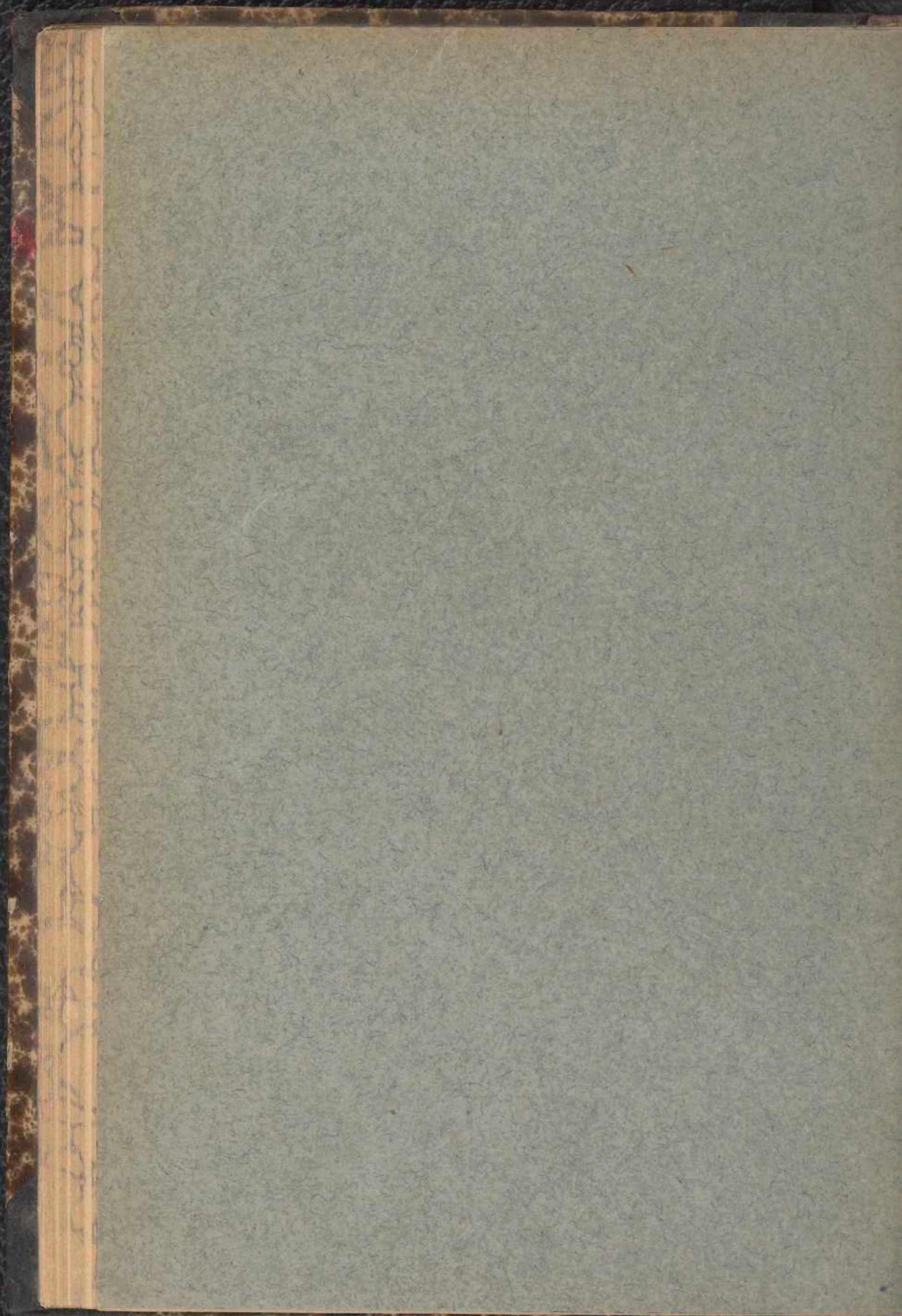
— Ale jeżeli on nie umarł, to w takim razie jakim to sposobem mogło się stać, iż ten łańcuszek z medalionem znajduje się w pańskim ręku?

Ręka jego narzeczonej drgnęła przy tem pytaniu, a delikatne jej palce wpily się w jego rękę.

— Oh — odparł Gordon zupełnie obojętnie — czy teraz ten przedmiot może mieć dla niego jakąkolwiek wartość, skoro wie, że ta kobieta już więcej dla niego nie istnieje? A i ona nie będzie go chciała prawdopodobnie posiadać... W ogóle dla nikogo więcej ten łańcuszek z medalionem nie posiada żadnego znaczenia... z wyjątkiem chyba.... mnie samego....







Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020802835

T.M.K.
18.W.50



1461383